Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

№ 21 — CENA 40 gr.
WARSZAWA
9-IX-1934 R.

WIR ŚWIATA
tygodniowa rewja prasy

DZIŚ W NUMERZE:

OD ADMINISTRACJI:

UPRASZAMY P. T. PRENUMERATORÓW O SZYBKIE UREGULOWANIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY I WPŁACENIE BIEŻĄCEJ. KONTO CZEKOWE P. K. O. 149.46.

Rosja wstępuje do Ligi Narodów

Rosja, Polska i Liga Narodów

Za kilka dni podjęte będą prace Ligi Narodów, i nikt już nie wątpi, że podczas tej sesji może zajść wypadek bardzo ważny. Sprawa Rosji, już dawno wertowana za kulisami ma tym razem być ostatecznie załatwiona w tempie przyśpieszonem.

Długie rokowania poprzedziły zresztą przygotowania do przyjęcia Rosji do Ligi, w której ona już przedtem brała udział z rozmaitych tytułów.

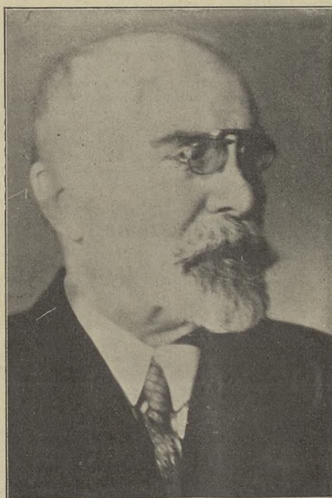
Cały system zorganizowania bezpieczeństwa w Europie, dokoła którego p. Ludwik Barthou ciągle się krząta, zdążał od samego początku do tego wydarzenia w dyplomacji.

Mała Ententa przez uznanie Sowietów przyczyniła się walnie do zrealizowania tego planu. A wysiłki p. Barthou w celu zawarcia Paktu Wschodniego wymagały rozwiązania pewnych trudnych zagadnień politycznych, których uregulowanie byłoby korzystne dla nowej polityki rosyjskiej. Nie wszystkie jednak trudności przezwyciężono.

Rumunja i Czechosłowacja przeszły od słów do czynów i natychmiast uznały Sowiety de jure, natomiast Jugosławja tego nie zrobiła. Zwlekanie to jest nader symptomatyczne. Znane są również przeszkody na jakie ten Pakt Wschodni napotkał w Polsce i w Niemczech.

Lecz to jeszcze nie wszystko... Przypuśćmy, że Sowiety, zgodnie z procedurą, przyjęto już do Ligi. Nie ulega wątpliwości, że zażądają one wtedy miejsca stałego w Radzie, o co Polska stara się dla siebie. Trzeba więc będzie uciekać się do subtelnych i przebiegłych kombinacyj, do których zrealizowania konieczna będzie dobra wola Warszawy — a nawet Berlina.

„Le Petit Journal", Paryż.



Louis Barthou, francuski minister spraw zagranicznych, inicjator wstąpienia Sowietów do Ligi Narodów.

Istota francuskiej polityki zagranicznej

Istnieje jeden stały czynnik w polityce zagranicznej Francji i we francuskiej opinji publicznej, a mianowicie nieufność w stosunku do Niemiec; stosunki z każdem innem państwem są stale rozpatrywane pod kątem widzenia zabezpieczenia się przed atakiem ze strony Niemiec. Nie ulega też wątpliwości, że prawie każdy francuz wolałby polegać w tem, jak on sądzi, nieuniknionem starciu, na pomocy brytyjskiej, aniżeli na pomocy innych państw.

Zbliżenie się do Rosji jest pewnego rodzaju reasekuracją, mającą zrównoważyć brytyjską niechęć do wyraźnego postawienia sprawy, niechęć, którą francuzi uważają nadal za niezrozumiałą, jeżeli zgodzić się na to, że przyjaźń angielska jest szczera.

Pokój w Europie mógłby być zapewniony przynajmniej na okres jednej generacji, gdyby Niemcy wiedziały napewno, że Anglja stanie po naszej stronie — powiadają francuzi.

SOJUSZ FRANCUSKO-ROSYJSKI

Pierwszą reakcją Anglji na zbliżenie francusko-angielskie było przeciwstawienie się przymierzu francusko-rosyjskiemu. Prawdopodobnie Anglja dlatego poparła Francję w sprawie Locarna Wschodniego, by zapobiec przekształceniu się paktu w rzeczywisty sojusz francusko-sowiecki.

Dyplomacja brytyjska, która w stosunku do Rosji zachowywała się do niedawna z rezerwą, jeżeli nie podejrzliwie, przeszła pod tym względem wyraźną ewolucję. Ta nowa, przychylniejsza orjentacja wynika ze stosunków angielsko-amerykańskich. W prawdopodobnym konflikcie na Pacyfiku Anglja stanie raczej po stronie Stanów Zjednoczonych, niż po stronie Japonji, tembardziej, że dumping japoński, nietylko w Azji, ale i w Europie, rozwiewa wszelkie złudzenia i niezdecydowanie, jakie do dziś dnia pokutują jeszcze w niektórych kołach angielskich.

Stanąć przeciwko Japonji na Dalekim Wschodzie znaczy stanąć po stronie Ameryki, ale również i po stronie Rosji. Fortyfikacje w Singapore są rozumiane nietylko jako zabezpieczenie interesów brytyjskich, lecz jako pociągnięcie antyjapońskie. Wyobraźnia niektórych posuwa się tak daleko, że przewidują, iż Francja na wypadek wojny z Japonją odda do dyspozycji floty amerykańskiej i rosyjskiej Saigon, a Anglja Singapore.

Takie możliwości sojuszu francusko-rosyjskiego nie przeszkadzają bynajmniej istnieniu ostrej krytyki tej polityki ze strony prawicy francuskiej.

(Dokończenie na str. 2)

Sowiety w Lidze, Pakt Wschodni a stosunki polsko-francuskie

Zbyteczny pakt

Ameryka sceptyczna wobec Locarna Wschodniego

Jeżeli nowy pakt będzie urzeczywistniony, czy będzie to miało jakieś istotne znaczenie? Czy rozpędzi to chmury wojenne, które obecnie tak ciężko wiszą nad całym kontynentem?

Nie mając bynajmniej zamiaru być pesymistami, wątpimy o tem. Takie pakty, jakie przewiduje propozycja francuska, nie załatwiają żadnego z zasadniczych konfliktów, które spowodowały naprężenie stosunków w Europie. Nie rozwiązują one żadnych zagadnień gospodarczych. Zamrażają niesprawiedliwości, zawarte w traktacie wersalskim i w innych traktatach z r. 1919.

Najważniejszą nauką z wypadków ostatnich dwudziestu lat w Europie jest ta, że nic nie jest ostatecznie załatwione, jak długo nie jest dobrze załatwione, i że zapewnienia pokojowe są bez wartości na ustach tych, którzy nadal dążą do celów, o które wciąż gotowi są walczyć. Jeżeli Europa naprawdę pragnie pokoju, to ma już wszystkie dokumenty, jakich potrzebuje: pakt Ligi Narodów, pakt Briand-Kellog. Jeżeli nie pragnie pokoju, nowy pakt nic nie pomoże, ani żadnego nie będzie miał znaczenia.

Musimy sobie uprzytomnić, że francuska propozycja oznacza w swej istocie bezpieczeństwo bez rozbrojenia. Każdy naród, który podpisze nowy pakt, będzie mógł rozumować, że potrzebuje silnej armji, by móc spełnić obowiązki dlań wynikające z tego paktu. Ten punkt widzenia nie różni się wcale od punktu widzenia militarysty, który twierdzi, że tylko należyte przygotowanie do wojny, stanowi gwarancję pokoju, przyczem przeocza się zupełnie fakt, że w historji przygotowanie do wojny stale do wojny doprowadzało.

Francuski plan napewno nie jest gorszy od obecnej anarchji, która nieuniknienie prowadzi do nowego konfliktu. Aby mógł spowodować istotną poprawę, musiałby być realizowany przez rządy o zupełnie innych celach i przez mężów stanu, zupełnie niepodobnych do dzisiejszych.

„The New Republic", Nowy Jork.

Sojusznicze prawdy

Istota Sojuszu

Polskę i Francję łączy sojusz, wynikający nietylko z sympatji, lecz przedewszystkiem z najgłębszych, żywotnych interesów obu narodów. Sojusz ten, prócz innych, *ważniejszych* postanowień stwarza także naturalną podstawę do uzgadniania polityki międzynarodowej obu Państw, wszędzie tam, gdzie w grę wchodzą wspólne ich interesy. Jest to baza do prowadzenia na szerokim odcinku polityki *wspólnej*. Ale polityka *wspólna* — to nie znaczy bynajmniej polityka *jednego* z partnerów.

Gdyby świadomość tej prawdy kwiła w mózgach publicystów paryskich, wówczas, pragnąc aby Polska szła temi drogami, które oni uznają za dobre — próbowaliby napewno tłomaczyć, przekonywać, wyjaśniać. Nie czynią tego bynajmniej. Nie tłomaczą czemu i dlaczego we wspólnym interesie leży takie a nie inne postępowanie na forum międzynarodowem. Nie przychodzi im to wcale do głowy. Nie przekonywują — tylko oskarżają, nie wyjaśniają — tylko wymyślają. Najwyraźniej w ich pojęciu polityka *wspólna* obu sojusznic to ma być taka polityka, w której Polska powtarzałaby posłusznie wszystkie załamania polityki francuskiej — od Locarna do paktu czterech, od Brianda do Barthou, od „konstruktywnego planu" rozbrojenia, aż do wszystkich innych konstruktywnych planów. Tymczasem sojusz polsko-francuski, stanowiący niewątpliwie jeden z głównych filarów pokoju europejskiego, polega na *wzajemności*. I polityka oparta na tym sojuszu wtedy tylko może być dobra i owocna, gdy wynikać będzie z *wzajemnego* porozumienia. Nie odpowiadają zaś temu i nie odpowiedzą próby narzucenia poglądów jednej stronie przez drugą. Szczególniej zaś nic *pozytywnego i trwałego* nie może stać się w Europie wschodniej poza Polską, lub bez Polski.

„Gazeta Polska", Warszawa.

Zmiana stanowiska Polski?

Sprawa Locarna Wschodniego, regjonalnego paktu bezpieczeństwa, wkracza dziś w nową fazę. Już nie o to chodzi, czy ten pakt będzie podpisany, — to już nie ulega kwestji po oświadczeniach estońskiego i litewskiego ministra spraw zagranicznych, — lecz o to, jak daleko Francja ten pakt będzie gwarantowała.

Do dziś dnia niema konkretnego tekstu paktu, istnieje tylko dość szczegółowy szemat, na którego podstawie Rosja zagwarantowałaby wschodnią granicę Francji i zachodnią granicę Niemiec. Gdyby jednak Niemcy zaatakowały Francję lub odwrotnie, czerwona armja musiałaby przyjść Francji, względnie Niemcom na pomoc, przyczem musiałaby przejść przez terytorjum polskie. Na to powołuje się Polska, jako na umotywowanie swojego odmownego stanowiska wobec paktu.

Ale Polska sama jest związana sojuszem z Francją i nic Rosji nie przeszkadza zawrzeć taki sam sojusz. Wtedy zamiast jednego sojuszu byłyby dwa, ale rezultat byłby ten sam, albowiem trudno sobie wyobrazić, by jeden z sprzymierzeńców przeszkadzał drugiemu w niesieniu pomocy trzeciemu.

Nie ulega wątpliwości, że w ostatnich dniach nastroje w Warszawie uległy zmianie, tak że otwiera się nowa możliwość wciągnięcia Polski do tego paktu, nie w charakterze uczestnika, lecz w charakterze jednego z gwarantów, na równi z wielkiemi mocarstwami.

„Neue Freie Presse", Wiedeń.

Pomiędzy Paryżem a Warszawą

W stosunkach francusko-polskich tuła się ciągle fałsz, który się wkradł do nich u progu odrodzenia Rzeczypospolitej. Polega on na tem, że we Francji, w częstych momentach podniecenia namiętności, pragnie się koniecznie utożsamić interesy Polski i Francji, podporządkowując pierwsze drugim, oraz — jednocześnie — nie obciążać się konsekwencjami takiego stosunku, t. j. wzięciem odpowiedzialności za bezpieczeństwo Polski. Inna sprawa, czy kresem naszych ambicyj jest obarczać kogokolwiek odpowiedzialnością za nasze istnienie polityczne. Lecz skądże uroszczenie, byśmy szli z zawiązanemi oczyma, przytroczeni do cudzego wozu, który w dodatku bardzo kapryśnie zmienia drogi, a lubi także zbaczać na bezdroża?

Mieliśmy zawsze dotychczas ze strony francuskiej więcej uroszczeń i pretensyj niż pomocy. Tej ostatniej nie doznaliśmy ani w dziedzinie naszej odbudowy gospodarczej, mimo, iż bardzo łatwo można nam było jej udzielić, ani, w dostatecznym stopniu w dziedzinie naszych naczelnych interesów politycznych.

Francja nie zna dotąd rządów trwałych i nie może przeto uprawiać konsekwentnej polityki. Gdzież ślady Brianda, co pozostało z koncepcyj Paul Boncoura, co wreszcie za miesiąc czy miesięcy parę ostanie się z polityki p. Barthou? Francja topi w zapomnieniu koncepcje, nie wytrzymujące próby życia, wraz z ministrami. Jest to złe, ale uzasadnia inne zło — polityką emocyj. Polska dawno zarzuciła tę metodę i przystąpiła do stabilizowania swoich idej politycznych oraz odpowiedzialności rządu za ich realizację. Typ naszych stosunków z sąsiadami ma charakter organiczny. Obowiązuje dane raz słowo, obowiązuje również logika ewolucji. Francuz jest kochliwy ale i kapryśny. Polaka cechuje rozwaga i opanowanie. Różnica temperamentów jest w pewnej mierze wynikiem różnicy dróg dziejowych, albowiem rzeczywistość kształtuje człowieka.

Istota sojuszu polsko-francuskiego, którego nikt w Polsce nie pragnie niszczyć, polega na tem, że każda idea natury pokojowej jest konfrontowana z dwóch punktów widzenia: zachodu i wschodu europejskiego, i że otrzymuje ona kształt dostosowany do różnych interesów i możliwości Paryża i Warszawy. Wówczas tylko będzie ona konstrukcyjna i trwała. Wówczas tylko będzie instrumentem pokoju. W przeciwnym razie stanie się narzędziem zamętu, a do tego nie trzeba i nie wolno przykładać ręki.

„Kurjer Poranny", Warszawa.

Istota francuskiej polityki zagranicznej

(Dokończenie ze str. 1)

— Wszystko to jest bardzo piękne, powiadają oni, — utrzymanie przyjaznych stosunków z Rosją jest potrzebne w celu zapewnienia dostawy surowców i żywności dla naszych wschodnich sprzymierzeńców i niedopuszczenia do zaopatrywania Niemiec. Można dalej zapewniać, że dobre stosunki nie oznaczają sojuszu, i w ten sposób Francja unikłaby wmieszania się w wojnę rosyjsko-japońską.

Lecz przypuśćmy, że Japonja zawarła z Niemcami sojusz i potem rozpoczyna wojnę z Rosją; przypuśćmy dalej, że Niemcy w związku z tem wkraczają do Rosji. Pakt Wschodni nałoży wówczas na Francję obowiązek wypowiedzenia wojny Niemcom, a żaden francuz nie będzie chyba walczył o Władywostok. A jaką wartość ma dla nas ta armja rosyjska, która nie będzie mogła dotrzeć do nas, chyba po przejściu przez terytorjum polskie, co jest bardzo nieprawdopodobne?

Ta armja składa się tylko z nawpół uzbrojonych i wyszkolonych najemników, których można użyć tylko wewnątrz kraju. Czy to dlatego Francja wiąże się z rządem, którego jedyną polityką zagraniczną jest podszczuwanie do rewolucji w innych krajach?

„The Observer", Londyn.

Sowiety — mniejsze zło dla Polski

W Moskwie w kołach dobrze poinformowanych uważają, że Warszawa nadal będzie grała rolę języczka u wagi między Niemcami z jednej, a Francją i Rosją z drugiej strony.

Jeżeli chodzi o stosunek do Z. S. S. R., to w kołach moskiewskich sądzą, że Polska uwzględnia dwie możliwości: albo Rosja zostanie osłabiona na wypadek konfliktu z Japonją, wtedy wygodniej jest porozumieć się z Niemcami w celu zawładnięcia Ukrainą, albo też Rosja wyjdzie zwycięsko i wtedy Polska, by nie ulec i nie stać się jedną z republik radzieckich, będzie wolała walczyć razem z Niemcami przeciw bolszewizmowi, nawet za cenę swojej niepodległości.

Jednem słowem, mając do wyboru między dwoma niebezpieczeństwami, Polska wybrałaby niemieckie, jako niezwiązane z możliwością zaburzeń społecznych.

Należałoby się zatem zastanowić jakie jest mniejsze zło. Otóż, Z. S. S. R. nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa dla Polski. Zagrożone na Wschodzie przez imperjalizm japoński i zajęte wewnątrz gigantycznem dziełem reorganizacji przemysłowej i rolniczej, Sowiety potrzebują pokoju i nie należy posądzać ludzi, stojących na czele Rosji, o nieszczerość, kiedy mówią, że pragną pokoju. Z. S. S. R. jest czynnikiem stabilizacji i wyrzekł się zupełnie wszelkich tendencyj, mających na celu zmiany w układzie terytorjalnym.

„Le Petit Parisien", Paryż.

Pojedynek na ciężkie szable

Stosunki polsko-francuskie

Sprawy, które jeszcze trzy dni temu wydawały się prawie niemożliwe, teraz są pewne i jasne:

1) że w konflikcie polsko-francuskim chodzi o stosunek Polski do Paktu Wschodniego, a nie o inne sprawy,

2) że konflikt ten jest o wiele głębszy niż opinja publiczna mogła przypuszczać.

Wyjaśnienie przyniósł komunikat prasy paryskiej, w którym powiedziano, że między Polską a Niemcami istnieje układ handlowy, do którego dołączono tajne klauzule, przewidujące aprowidowanie Niemiec przez Polskę na wypadek wojny.

Nonsens tego komunikatu jest jasny, i to nietylko dla zawodowych dyplomatów. Wiadomo ogólnie, że między Polską a Niemcami niema żadnego traktatu handlowego. Wiadomo również, że nie toczą się nawet rokowania o taki traktat. Zresztą komunikat francuski sam sprowadza się do absurdu, jeżeli się tylko nad nim trochę zastanowimy. Na wypadek, gdyby Niemcy prowadziły wojnę, w której Polska nie brałaby udziału, obroty towarowe między obydwoma krajami rozwijałyby się nadal, co jest zupełnie zrozumiałe i nie potrzebuje być regulowane tajnemi traktatami ani klauzulami.

Trzy gazety przedewszystkiem podchwyciły tę insynuację: „Temps", „Echo de Paris" i „Journal des Debats". Otóż „Temps" uchodzi za organ ministerstwa spraw zagranicznych, a „Echo de Paris" za organ sztabu generalnego. Jeżeli tedy takie dwie gazety piszą się na tę mistyfikację, a równocześnie atakują Polskę za jej rezerwę w sprawie Paktu Wschodniego, to jasne jest, że spodziewają się tą drogą wywrzeć nacisk na stanowisko Polski w sprawie Paktu Wschodniego. Kiedy Warszawa zaprzeczyła tej wiadomości, „Echo de Paris" dodało cynicznie, że jasne było, iż Polska zaprzeczy, tajne klauzule zawsze się dementuje...

Z tego wynika: 1) że miarodajne czynniki francuskie są zdecydowane trwać przy tej insynuacji, 2) że zgadzają się na dalsze pogorszenie się stosunków polsko-francuskich, które są naturalnem tego następstwem.

Dlaczego? W jakim celu?

Francja chce trwać przy tej insynuacji, bo jest ona jej pożyteczna; rzuca oszczerstwo na Niemcy i na Polskę, na Niemcy, że istnieje tam dążenie do wojny, na Polskę, że popiera niemieckie aspiracje; pozatem, gdyby taka klauzula rzeczywiście istniała, wystarczyłaby ona, by przekonać tych, którzy się jeszcze wahają, o konieczności sojuszu francusko-sowieckiego i konieczności wstąpienia Rosji do Ligi Narodów.

Gdyby taka klauzula istniała, wywołałoby ona również rozdźwięk w opinji polskiej, która wprawdzie najzupełniej pochwala pojednanie się Polski z Niemcami, lecz zachowuje się negatywnie wobec wszelkich planów wojennych i perspektywy ich popierania.

Podtrzymując więc tę insynuację, Paryż zamierza osiągnąć wyżej wymienione cele. Czy i za cenę przymierza z Polską? Wydaje się, że Paryż jest zdecydowany zrezygnować z sojuszu z Polską i zamienić go na sojusz z Moskwą. Wydaje się jednak i to, że Paryż jest przekonany, iż Polskę utrzymać w przymierzu z Francją można będzie jedynie przy pomocy groźby i tej insynuacji. W takim razie ta insynuacja miałaby służyć do tego, by Polsce dać do zro-

(Dokończenie na str. 12)

BEZBRONNA FRANCJA NA POCZĄTKU WOJNY

TAJEMNICE FRANCUSKIEGO SZTABU GENERALNEGO

Charleroi. Armja niemiecka, nacierając zewsząd na nasze wojska, szła zwycięsko na Paryż. W tym tak niezmiernie ważnym momencie Francja była zupełnie nieprzygotowana do obrony. Nasze arsenały świeciły pustkami, a bohaterscy żołnierze francuscy musieli swą krwią pokryć wszystkie niedokładności, wszystkie zbrodnicze błędy...

Gdyby podać cyfry strat, wynikłych z naszej dezorganizacji, ogarnęłoby nas zdumienie i przerażenie.

Środków do prowadzenia działań wojennych nie było, należało więc za wszelką cenę wznieść przed nieprzyjacielem żywy szaniec, trzeba było poświęcić najlepszych spośród nas...

Jako rezerwę posiadaliśmy tylko 13.600 pocisków, zamiast 500.000, które były absolutnie konieczne; nie mieliśmy prawie wcale ciężkiej artylerji, ani też karabinów maszynowych; 500.000 karabinów Lebel'a, znajdujących się w czasie pokoju na składzie, okazało się potem nie do użytku; od 10-u lat wszystkie armje cudzoziemskie uznały hełm stalowy za odpowiednie nakrycie głowy w czasie wojny, oprócz Francji, gdzie dawno wyszło z mody kępi uważane były za dostateczną ochronę głowy dla żołnierzy. Śmieszne i samobójcze czerwone spodnie potępione były przez zdrowy rozsądek, ale Sztab Generalny bronił ich pod pretekstem, że należy zatrudnić przemysł krajowy.

Przemysł nie był w odpowiednim czasie zmilitaryzowany, wobec czego nie mógł z chwilą rozpoczęcia wojny dostarczać armji odpowiedniego uzbrojenia. Dość powiedzieć, że niektóre chemikalja, jak np. phenol trzeba było sprowadzać z... Niemiec.

NIEWYZYSKANE ZWYCIĘSTWO NAD MARNĄ

Dnia 24 września 1914 roku Minister Wojny otrzymał depeszę za Nr. 6.999 treści następującej:

„Spowodu braku amunicji, w ciągu 15 dni dalsze prowadzenie wojny niemożliwe".

Podpisano: Joffre.

Czemu Sztab Generalny po „cudzie nad Marną" nie wykorzystał swego taktycznego sukcesu? — Nie można atakować wroga, nie mając ani amunicji, ani artylerji.

Przypadek pozwolił mi przestudjować telegramy, wymienione między Głównodowodzącym Armją i Ministrem Wojny. Korespondencja ta, nigdzie dotychczas nieujawniona, rzuca szczególne światło na ówczesne wypadki. Należy ona do Historji.

Oto fakty: 9 września 1914 r. nasze 75-ki zaczynają odczuwać brak amunicji. Od 4-ch dni na nieprzerwanym froncie długości 280 klm. wre walka. Dwa miljony ludzi toczy zażarty bój. II-a Armja dokazuje cudów waleczności, aby wstrzymać wojsko Księcia Bawarskiego. Rząd francuski ucieka, opuszczając Paryż i Generała Gallieni.

9 września, około godziny 6-ej wieczorem, Joffre przesyła do Bordeaux pierwszy telegram, wzywający pomocy:

Głównodowodzący Armją do p. Ministra Wojny:

Pilne. Osobiste. N. 2887.

Spowodu zaszłych wypadków zmuszony byłem zużytkować prawie całkowite rezerwy amunicji dla artylerji 75. Proszę bezwłocznie wydać zarządzenie celem zaopatrzenia artylerji 75.

Podpisano: Joffre.

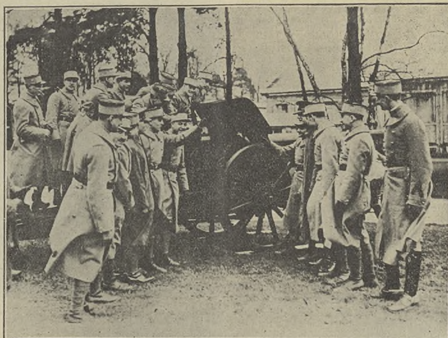
Kilka niezbędnych cyfr: od początku wojny dzienne zapotrzebowanie na każde działo wynosiło 800 pocisków. 9 września stan zapasów pozwalał na dostarczenie 600 pocisków. Można z tem było przetrzymać jeszcze kilka tygodni.

Nie znalazłem śladu odpowiedzi na depeszę Nr. 2887, chyba, że poniższy dokument z dnia 17 września miał być tą odpowiedzią:

Minister Wojny do Naczelnego Wodza Armji:

Proszę wydać formalny rozkaz unikania marnotrawienia amunicji artyleryjskiej. Używać wyłącznie szrapneli, zamiast granatów wybuchowych.

Tak więc, w półtora miesiąca po rozpoczęciu działań wojennych, armja zmuszona jest do atakowania pociskami, służącemi w czasie pokoju do strzelania na manewrach...



Słynna francuska 75-ka, szybkostrzelna armata.

20 września Joffre wysyła do Ministra Wojny list, zredagowany jak następuje:

...Jeśli zapotrzebowanie artylerji utrzyma się w dotychczasowych proporcjach, całkowity zapas amunicji będzie zużyty w ciągu 6-u tygodni. Rząd musi wziąć pod uwagę sytuację, jaka się wytworzyła: albo produkcja amunicji będzie znacznie powiększona, albo począwszy od 1-go listopada nie będziemy mieli środków na dalsze prowadzenie wojny. Uważam, że, aby kontynuować walkę, armja musi mieć conajmniej 50.000 pocisków dziennie. Jeżeli krajowy przemysł dał ze siebie wszystko, czego można było się spodziewać, może należałoby wezwać do pomocy przemysł zagraniczny (Amerykę, Anglję, Włochy i t. d.), jakiekolwiek byłyby warunki z ich strony... Uwagi powyższe są tak ważne, że uważałem za konieczne przedstawić je Panu.

Podpisano: Joffre.

Trudno sobie wyobrazić zdumienie i przerażenie Rządu po przeczytaniu podobnego dokumentu. Interpelowani przez Rząd dyrektorzy fabryk, wyspecjalizowanych w produkcji amunicji, oświadczyli Ministrowi Wojny, że wydajność wszystkich fabryk łącznie stanowi zaledwie ¼ tego, czego żąda Joffre.

24 września szef Armji wysyła raz jeszcze do dowódców rozkaz zmniejszenia spożycia amunicji:

„Tyły osłabione. Jeżeli zużycie amunicji nie zmniejszy się, niemożliwe będzie dalsze prowadzenie wojny w ciągu 15 dni. Podkreślam niezmierną ważność tego zarządzenia, od którego zależne jest ocalenie Ojczyzny. Potwierdzić odbiór".

Podpisano: Joffre.

28 września Sztab Generalny depeszuje do I-ej i III-ej Armji:

Nr. 7641. Należy strzelać wyłącznie do objektów pewnych, celem osiągnięcia natychmiastowego rezultatu.

Joffre.

Rząd francuski, zdezorjentowany, błądzi po omacku, nie wiedząc, gdzie należy szukać ocalenia. Wreszcie, naglony przez Sztab Generalny wzywa do Bordeaux 20 wielkich przemysłowców, rozkazuje uruchomić ich zakłady oraz stworzyć nowe.

Był już najwyższy czas.

Robert Boucard,
„Gringoire", Paryż.

Sarajewo — odpowiedź na rozbiory Polski

Józef II cesarz, który wniósł chaos w świat

„The rewolutionary Emperor: Joseph the Second" by S. K. Padover, Londyn 1934.

Karjera Józefa II na tronie była tak pstra, że trudno wprost nadążyć za jego planami i zamiarami. Był on, dziwną mieszaniną swego ojca lotaryńczyka i matki austrjaczki. Przez 15 lat miał pod swoją władzą tylko armję i politykę zagraniczną, a po śmierci matki stał się niezależnym panem całej Austrji. Rzucił się w wir polityki, osiągając stale wyniki, które się przeciwko niemu samemu zwracały, a o których sardoniczny Fryderyk twierdził, że Józef stale popełniał ten sam błąd, mianowicie stawiał drugi krok, zanim pierwszy postawił.

Jego polityka wewnętrzna zamieniła Austrję feudalną na państwo nowożytne, jego polityka zagraniczna odpowiadała metodom średniowiecznego Raubrittera. Podczas gdy cyniczny Fryderyk był frankofilem, Józef był dumnym teutonem i siał niezgodę między słowianami a madziarami, by ich tem łatwiej germanizować.

Jednem słowem nie pozyskał on sobie sympatyj niczyich, a najmniej tych, którym chciał pomóc, albowiem, jak p. Padover powiada, jego reformy pogłębiały właściwie nędzę ludności, galwanizując zmurszałą monarchję. Następstwem tego było, że mało który władca zmarł „śród tak powszechnych złorzeczeń".

Nigdzie wyniki jego polityki nie przypominały tak bardzo skutków rzutów bumerangiem, jak przy pierwszym rozbiorze Polski, albowiem to odbiło się fatalnie nietylko na Austrji, lecz i na całej Europie.

„Co się tyczy Austrji samej, to zdobycie nowych obcych ziem i ludów przyczyniło się wybitnie do osłabienia jej siły wewnętrznej i doprowadziło ostatecznie do jej ruiny. Rozbiory Polski wprowadziły Rosję do Europy Środkowej i uczyniły z niej niebezpiecznego i groźnego rywala Austrji samej. Prusy również zagarnęły część terytorjum Polski, którego nie mogły strawić. Historyczną odpowiedzią na pierwsze było Sarajewo w 1914 r. Odpowiedzią na drugie był Wersal 1919 r. i Korytarz pomorski."

Kłopoty Józefa skomplikowała później jego nierówna walka z twardym Fryderykiem pruskim, który był dwa razy starszy od niego i który zrabował Śląsk jego matce Marji Teresie.

P. Padover opisuje Fryderyka, jako wielką „Nemesis" cesarzowej i charakteryzuje go, jako tego, który rozpoczął swoją zawrotną karjerę „od przywłaszczenia i rabunku".

Autor tworzy śmiałe syntezy, wiążąc przeszłość z chwilą obecną, i znajdując w ten sposób wytłumaczenie dzisiejszych nieporozumień. Kiedy zaś powiada, że „Niemcy od średniowiecza rozdarte walką stronnictw i obciążone narodowym kompleksem niższości (który często wybuchał w brutalnych aktach) były stale urodzajnym terenem dla gangsterów militarnych, politycznych awanturników i mglistych filozofów", czujemy, że oświetlił swojego bohatera dokładnie i wszechstronnie.

„Ten Sunday Times", Londyn.

Szkoda, że armje sprzymierzone nie wkroczyły do Berlina

Okrucieństwa w Niemczech, są, jak wojna, wynikiem niemieckiego charakteru narodowego.

Tak, jak faszyzm jest wierny tradycjom włoskim, tak, jak metody rządzenia w Anglji są i zawsze pozostaną wierne duchowi i charakterowi narodowemu angików, tak wypadki niemieckie rozwijają się ściśle w duchu tradycji niemieckiej.

Niemcy, mimo, że znajdują się wśród nich jednostki kulturalne i szlachetne, byli zawsze, jako rasa, czcicielami kultury brutalnej. Uwielbiają żelazną rękę i są zupełnie wyzuci poczucia humoru.

Niebezpieczeństwo dla Anglji w danym wypadku polega nie na istnieniu takiej formy rządu, jaką jest hitleryzm, lecz na stałej groźbie wojny europejskiej jaką stanowi Hitler sam. Niemcy nie nauczyły się od wojny światowej żadnej ze sztuk pokoju, ale zato opanowali przynajmniej, jeszcze jedną gałęź sztuki wojennej — propagandę.

Teraz wszyscy doszli do przekonania, że bez względu na to, jaki system rządów panuje w Niemczech, okrucieństwa i skandale zawsze tam były i będą zjawiskiem normalnem. Tortury wojny stuletniej nie były mniej bezsensowne i odrażające, niż okrucieństwa dzisiejsze. Te same skandale cechują tyranję niemiecką we wszystkich jej przejawach w historji. Skandal, który Maksymiljan Harden napiętnował w pierwszych latach naszego wieku, był tej samej natury, co skandal Roehma*).

Oni zawsze chcą być lubiani, a jednak nawet w ciągu mojego życia, przez jakich czterdzieści lat nie przestali być niebezpieczeństwem dla cywilizacji, z wyjątkiem tego okresu, kiedy jawnie występowali, jako jej wrogowie.

Jak żarliwy pacyfista, współczułem z nimi przez długie lata, stawałem nawet w ich obronie, dopatrując się w ich położeniu poniżenia wielkiego narodu. Ale dzisiaj, czy jest jeszcze człowiek pokojowo usposobiony, który nie żałuje, że armje sprzymierzone nie wkroczyły do Berlina i nie dowiodły, iż, bez względu na to, czy Niemcy wywołały wojnę światową, czy nie, przegrały ją w każdym razie dzięki swojej głupocie.

---

*) Autor ma na myśli aferę homoseksualną hr. Tulenburga.

Osbert Sitwell,
„Sunday Referee", Londyn.

DAWNI I OBECNI WODZOWIE NARODÓW

Ostatni okres dwudziestoletni z jego wojnami i rewolucjami — to wielka otchłań, wypełniona chaosem, wielobarwna, gigantyczna, groteskowa. Wzdłuż jej brzegów możemy widzieć nadludzi dnia dzisiejszego, oddzielonych przepaścią od nadludzi dnia wczorajszego, a wołających do siebie ponad przestworza.

— Dokąd wyście zaszli? — to jest pytanie, które echem rozbrzmiewa z jednego krańca przepaści do drugiego, a „Dokąd idziecie?" to pytanie, które brzmi w odpowiedzi.

Co się stało w roku 1934 z osobistościami z roku 1914? A gdzie w roku 1914 znajdowały się osobistości z roku 1934?

Na widnokręgu sprzed dwudziestu laty wznosiły się wielkie cienie. Jak pomniki egipskie, miały one wygląd ludzki, ale były większe ponad wszelką miarę ludzką. Były to monarchje świata nowoczesnego.

Trzy wybijały się ponad wszystkie. Nigdy w dziejach ludzkości nie było despotyzmów militarnych tak wspaniałych i zarazem tak monstrualnych. Na tronach zasiadało trzech imperatorów z podwójnemi orłami w herbach.



Mussolini — strzelec podczas wojny.

Trzej cesarze

Wśród walców modrego Dunaju, które bawiły stolicę wesołości europejskiej, Franciszek Józef, cesarz Austrji i król Węgier, w wieku 84 lat, dreptał jak zmęczony Tytan, do swego grobu. Jego jedyny syn, następca tronu Rudolf, naskutek nieszczęśliwej miłości strzelił sobie w łeb. Cesarzową Elżbietę zamordował anarchista. Jego bratanka i spadkobiercę Franciszka Ferdynanda zastrzelono jak psa na ulicach Sarajewa.

Franciszek Józef panował w ciągu 66 lat — więcej niż pół wieku — okres czasu, równy szesnastu prezydenturom. Aż do końca swego życia Franciszek Józef zachował prestiż największej rodziny królewskiej, jaką świat kiedykolwiek znał. I kto mógł sobie wyobrazić, że te wielkie królestwa, które niegdyś ogarniały całe światy, nowe i stare, skurczą się do rozmiarów ciemnego grobowca pod kościołem kapucyńskim we Wiedniu, gdzie w ciszy zapomnienia niegdyś świetni monarchowie królują w samotności nad własnemi prochami?

Obecnie czytamy o depeszach, które „Willy" wymieniał z „Nicky". Ale w sierpniu 1914 świat nie myślał o ich cesarskich mościach, Mikołaju, cesarzu wszechrosyjskim, i Wilhelmie, cesarzu Niemiec i królu pruskim, jako o „Nicky" i „Willy".

Armje Mikołaja poniosły porażkę na Dalekim Wschodzie z rąk japończyków. W kraju policja musiała tłumić rewolucję. Ale strach przed domem Romanowych jeszcze napełniał Azję i Europę szacunkiem, jaki zwykle ma się tylko dla bóstwa. W ciągu dwudziestu lat ten ostatni potomek dynastji posiadał absolutną władzę nad terytorjami, ciągnącemi się od Bałtyku do Morza Żółtego.

Czy carowa nie była wnuczką królowej Wiktorji? Czy Francja i Brytanja nie były sprzymierzeńcami Caratu? Trudno było sobie wyobrazić, ażeby po czterech latach wojny pomazaniec Mikołaj wywleczony był z pełnych przepychu pałaców i zamknięty w skromnym domku miasta na Uralu i tam stracony; że bardzo mało zostanie po tych Romanowych, oprócz regalij, wystawianych jako zdobycz rewolucji i kilku zebranych kości znalezionych w studni w pobliżu miejsca stracenia, podobno przechowywanych gdzieś we Francji.

Obecnie myślimy o Wilhelmie Hohenzollernie jako osobie, która robiła lekceważące uwagi na marginesach aktów państwowych, dotyczących pokoju światowego. To, co narody widziały dwadzieścia lat temu, to był wspaniały autokrata na tronie.

Błyszczące zbroje na piersi i na ramionach naprawdę błyszczały. Srebrny hełm naprawdę się świecił. Białe rękawiczki. lśniące buty, świecące się ostrogi, a blada i zdecydowana twarz uzupełniały wspaniały obraz. Być może, że to było aktorstwo, a nie czyn, ale było świetnie grane.

Dziś w pobliżu wioski Doorn starszy pan wychodzi na spacer ze swoim psem. Towarzyszy mu kobieta, która poçieszyła wdowca. Zapuścił sobie brodę, nosi kapelusz na głowie, i szalik na szyji Trudno w nim poznać tego człowieka sprzed 20 lat.

*

Król angielski Jerzy i król włoski Wiktor Emanuel panowali w roku 1914 i jeszcze panują w roku 1934. Monarchja japońska wzmocniła się podczas wojny i po wojnie, kiedy inne upadały.

Słabość może czasami okazuje się trwałą. Monarchje skandynawskie są niebronione, posiadane przez nie armje i marynarka stanowią obronę jedynie nominalną. O mało nie zostały wciągnięte w wir rzezi, która się srożyła tuż przed ich drzwiami. Ale w mimo tego, gdy chmury powoli zanikały, okazało się, że te kraje prawie nic nie ucierpiały. Widzimy króla Danji Chrystjana i króla Norwegji Haakona tak popularnymi u swoich lojalnych narodów, jakiemi zawsze były, a staruszek Gustaw szwedzki spokojnie gra w ulubionego tenisa.

Najciekawszym ze wszystkich był los króla Belgji Alberta.

W sierpniu 1914 roku wszystko stracił, prócz honoru. W roku 1918 wszystko mu zwrócono. Nikt jednak nie przewidywał, że godzinami będzie on leżał martwy sam, w głuchym lesie.

Sławy wojenne

Mówimy o Czwórce — jak ona wygrała wojnę i jak przegrała pokój. Ale w sierpniu, 1914, kiedy kości zostały rzucone, ani jeden z tej Wielkiej Czwórki nie był jeszcze wielki. Wszyscy oni byli mężami przyszłości.

Woodrow Wilson — dopiero po 2 i pół roku wziął czynny udział w walce. Lloyd George — był jeszcze zwolennikiem pokoju omal za wszelką cenę. We Francji prezydenta Poincarégo i premjera Vivianiego, Clemenceau był tygrysem, nie miecza, lecz słowa. Zawieszone za krytykowanie korpusu lekarskiego, czasopismo jego „L'Homme Libre" zaczęło wychodzić nanowo pod sardonicznym tytułem „L'Homme Enchainé". Włoch Orlando — wprawdzie popierał aljantów, ale upłynęły trzy lata, zanim został premjerem Włoch.

To samo z generałami. Mamy dzisiaj pewną ilość wybitnych wodzów militarnych z czyjemi nazwiskami kojarzą się u nas wspomnienia o wojnie. W sierpniu roku 1914 ani jedno z tych nazwisk nie było na ustach człowieka z ulicy.

Francuzi są wdzięczni marszałkowi Foch. Ale w sierpniu 1914 roku takim kolosem Siły wydawał się generał Joffre.



Hitler — kapral podczas wojny.

Anglicy myślą o Haigh. Ale pierwszym ich ulubieńcem był John French. Allenby był tylko oficerem kawalerji, niezbyt szczęśliwym w okopach, a do Palestyny wysłano go za karę.

Hindenburg jest obecnie zbawicielem Niemiec, ale co myśleli o nim Niemcy w sierpniu roku 1914? Był on ciężkim starym weteranem. To samo z Ludendorffem. Dopiero po miesiącach wyznaczono go na prawą rękę Hindenburga, a i to był tylko początek.

*

Odwróćmy teraz nasz wzrok od brzegu 1914 roku i spójrzmy chociażby na chwilę na przeciwległy brzeg z roku 1934.

Gdzie byli władcy dzisiejsi

Gdy się wspomniało o Roosevelcie w owe dni, każdy myślał o Teodorze. Żadnego innego Roosevelta nie można było sobie wyobrazić. Ale w Departamencie Marynarki pewien Franklin D. Roosevelt — był już w drodze.

W owych gorących czasach pacyfista uchodził za zdrajcę i prawdopodobnie za płatnego agenta obcego państwa. Nawet lord Haldane był podejrzewany.

Jak można było grać w golfa w Lossiemouth z takim „jegomościem", jak James Ramsay Macdonald? Ale ten „jegomość" wyrzucony z klubu golfowego też już był „w drodze".

We Włoszech w sierpniu 1914 trudno było naprawdę przewidzieć nadczłowieka przyszłości.

Benito Mussolini? Nie do uwierzenia. Jako agitator był on dość zdolny, szczególnie w piórze. Ale czy Włochy miały być rządzone przez syna kowala-rewolucjonisty?

Czy nie był więziony, jako radykał chłopski i oddany pod nadzór policji? Czy nie podburzał przeciwko wojnie w Tripolisie i nie odsiedział za to 5 miesięcy? A jednak i on największy dyktator świata już był w drodze...

W Monachjum żył młody człowiek w wieku 26 lat. Rodem był to austrjak. Pracował jako cieśla i budowniczy i malował akwarelą. Do armji niemieckiej wstąpił jako szeregowiec i wraz z miljonami innych wysłany został na front zachodni, jako mięso armatnie. Adolf Hitler — zagazowany i z krzyżem żelaznym — był na swej drodze.

W Galicji istnieje mała miejscowość, zwana Poroninem. Jest ona tak mała, że na mapie nie jest wymieniona. Ale w sierpniu 1914 znalazł się tam przypadkowo dziwaczny cudzoziemiec z szerokiemi ramionami i kozią bródką. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, poco on tam się znajdował. Poronin nie był daleki od granicy rosyjskiej, i cudzoziemiec — jak przypuszczała policja austrjacka — mógł być szpiegiem carskim. Dla pewności wydalono nieznajomego do Szwajcarji i więcej o nim nie myślano. Ale Lenin już był na swojej drodze.

I zdarzyło się tak, że w Wiedniu znajdował się inny nieznany cudzoziemiec, który również pośpiesznie wyjechał do Szwajcarji. Trocki był na swojej drodze...

Istnieje miasto w północnej Syberji, zwane Turchansk. W sierpniu 1914 roku można było tam widzieć silnego młodzieńca lat 35. Tylko policja mogła pamiętać, ile razy on był aresztowany, więziony i zsyłany, za każdym razem powracając do swojej pracy konspiracyjnej. Józef Nisarjonowicz Stalin był na swojej drodze.

Cesarz Franciszek Józef miał wielu woźnic. Jeden z nich nazywał się Masaryk, i ten Masaryk miał syna. Chcieli z niego zrobić nauczyciela, ale jako chłopiec wolał karjerę ślusarza i kowala. Jednak później poświęcił się nauce i nawet polityce. W sierpniu 1914 Tomasz Masaryk, nieustraszony badacz tajnej dyplomacji austrjackiej i obecny prezydent Czechosłowacji, był na swej drodze.



Stalin — młody rewolucjonista rosyjski.

W Warszawie żył osobliwy entuzjasta zwany Piłsudski. Z pochodzenia szlachcic polski, uważał, że polacy powinni walczyć o Polskę. Zorganizował przeto tajną armję własną i przy boku armji austrjackiej ruszył przeciwko Rosji. Później zmienił swoją politykę. Ale cały czas Piłsudski był na swojej drodze.

W tureckiem poselstwie w Sofji był attaché wojskowy. Wszyscy byli przeciw niemu, a on był przeciw wszystkim. Ale on wiedział coś o obronie Dardanelów. Kemal nie był jeszcze sławnym Mustafą. Ale był już na swojej drodze.

*

Spoglądając jeszcze raz na te dwa brzegi przepaści, mimowoli zadajemy sobie pytanie: Gdzie będą nadludzie 1934 roku, kiedy na kalendarzu będzie widniał rok 1954? Czy możemy powiedzieć, że mamy już za sobą wielką przepaść dziejową wojen i rewolucyj, która przerywa ciągłość cywilizacji?

„The New York Times Magazine", Nowy York.

Pochwała za odmowę ratunku

Większa odwaga niż ryzyko śmierci

Zdarza się, że odmowa pomocy tonącemu jest czynem bardziej chwalebnym, niż nierozumna odwaga, w której wyniku ginie zarówno tonący, jak i ratujący. Takiego zdania przynajmniej był sędzia angielski, który niedawno ferował wyrok w sprawie śmierci 17-letniego Józefa Taylora, ofiary morza.

Taylor udał się na morze, aby się wykąpać, i nie bacząc na to, że dwuch stojących na brzegu miejscowych ludzi uprzedziło go o silnym prądzie niedaleko brzegu, popłynął właśnie w miejsce zabronione. Po niejakim czasie zaczął tonąć. Ci co uprzedzali go o niebezpieczeństwie, odmówili mu pomocy, uważając, że nie uratują go, a sami zginą.

Sędzia w zupełności usprawiedliwił ich sposób postępowania, oświadczając, że gdyby się rzucili na pomoc Taylorowi, popełniliby samobójstwo, i że ich odmowa była właściwie dowodem większej odwagi, niż nierozumna próba uratowania Taylora.

„Sewodnia", Ryga.

MĄŻ ZE STALI ZA PLECAMI HITLERA

Za kulisami ruchu radykałów hitlerowskich ukrywa się postać Fritza Thyssena, jednego z najpotężniejszych niemieckich przemysłowców. W konflikcie między prawicą a lewicą, czyli kierunkiem nacjonalistycznym a socjalistycznym partji jego pogląd zwyciężył.

Trzecia Rzesza Hitlera — to Niemcy Thyssena. Thyssen, człowiek o niezwykle silnej woli jest tak wytrwały w dążeniu do obranego celu i tak skutecznie potrafi narzucić swoje poglądy nominalnym przywódcom Rzeszy, że hitleryzm obecnie nie może być zrozumiany bez związku z tym magnatem przemysłowym.

Na czele najpotężniejszego niemieckiego koncernu przemysłowego, Zjednoczonych Zakładów Stali, Thyssen w dobrych latach jest władcą 170.000 robotników. Jest on przyjacielem osobistym Adolfa Hitlera, którego poglądy on pierwszy podzielał spośród magnatów niemieckiego ciężkiego przemysłu. Na liście honorowej hitlerowców on jeden spośród wielkich przemysłowców, jest „pionierem Nowych Niemiec". Jako gospodarczy dyktator przemysłu węglowego i żelaznego Westfalji posiada on wielką władzę wykonawczą. Jako członek Wielkiej Rady Ekonomicznej Rzeszy i Pruskiej Rady Państwowej jest on oficjalnie członkiem trustu mózgowego hitlerowców. Ale wpływ jego jest podobno nawet większy w cieniu tronu, gdzie szepty znaczą więcej, niż wystrzały, a migi znaczą więcej, niż słowo rozkazu.

Thyssen ma akademicki sposób bycia i wyraz człowieka zamyślonego. Uchodzi za zamkniętego w baszcie z kości słoniowej, wygląda raczej na przysłowiowego roztargnionego niemieckiego uczonego. Jego oczy, pod szerokiemi łukami brwi, mają wygląd dziwnie łagodny, aczkolwiek nie jest rzeczą łatwą odgadnąć myśli, które za niemi się ukrywają. Jego bezbarwny uśmiech, posiada własność przekształcenia się nagle w wyraz niezadowolenia bez jakichkolwiek momentów przejściowych. Lubi on zamykać się w sobie, a jego wargi są skąpe na słowa. Ale kiedy mówi, to słowa jego są suche i kategoryczne — jak wyrok na ustach sędziego.

Człowiek maszyna

Spędza on niezliczoną ilość godzin w swojem biurze i sztabie generalnym Zjednoczonych Zakładów Stalowych (Vereinigte Stahlwerke) w Muehlheimie w okręgu Ruhry. Jego biurko jest czyste, jego kalendarz dokładny, interesanci przychodzą i odchodzą zgodnie z listą. Jedno słowo, krótka rozmowa telefoniczna rozstrzygają zawiłe kwestje; wydajność pracy i szybkość są jego naczelnemi hasłami. Gabinet konferencyjny, którego ściany pokryte są grubemi dywanami, tłumiącemi wszelkie dźwięki, jest tym schronem wewnętrznym, gdzie główni wodzowie hitleryzmu zniżają swoje głosy do szeptu poufnego.

Fritz Thyssen nie jest typowym magnatem obszarów Ruhry, mającym do czynienia z niezliczonemi kolumnami cyfr, wyobrażających tonny stali. Jest on przemysłowcem i mężem stanu uprawiającym politykę i decydującym o wojnie i pokoju.

Ojciec jego, August Thyssen, był genjuszem Ruhry. Od ojca swego odziedziczył on niezłomną wolę i umysł, który nie może się przyznać do żadnej porażki.

Thyssen widział w Hitlerze człowieka, którym będzie mógł kierować w labiryncie problematów ekonomicznych, gdzie Führer — jak sam twierdził — zupełnie się gubił. Thyssen spodziewał się hojnego wynagrodzenia za swoją rolę doradcy finansowego Trzeciej Rzeszy.

Przemysłowiec ten ukończył w tej chwili 60 lat. Jeszcze kilka lat temu żył on w cieniu potężnej osobistości swego ojca. August Thyssen był „der alte Herr", starszym panem dla dziesiątków tysięcy urzędników, ale dla świata był on królem stali, jednym z największych pionierów niemieckiego przemysłu, misjonarzem wydajności i racjonalizacji pracy.

August Thyssen uchodził za dziwaka. Był niewiarygodnie skąpy, a ponieważ nie chciał tracić pieniędzy na dorożki i auta, miał obcasy podkute żelazem, ażeby się nie wycierały. Nie odróżniał dnia od nocy; nie ustawał w pracy nad udoskonalaniem produkcji. Najpierw rozpoczął od nabycia obszarów węglowych w Ruhrze, potem nabył koncesje na kopalnie żelaza w niemieckiej Lotaryngji, we francuskiej Lotaryngji, we Francji północnej. Założył filje w Normandji, sięgając aż do Marokka i Algerji. Był zwolennikiem koncernu „pionowego", który eksploatuje własne surowce i przeprowadza je przez wszystkie fazy produkcji we własnych zakładach. Miał swoje własne fabryki cementu, stacje elektryczne, linje kolejowe i statki. W ciągu mniej niż pół wieku liczba jego pracowników wzrosła do 25.000.

Dumny władca Ruhry

Był on królem stalowym Niemiec i tak dumny ze swej potęgi, że nie chciał mieć do czynienia z niemieckim dworem cesarskim. Chociaż zazdrościł zakładom Kruppa, oficjalnego dostawcy amunicji dla Niemiec, nie czynił on żadnych wysiłków, ażeby zająć miejsce Fryderyka Alfreda Kruppa, który się cieszył względami cesarza. Na propozycje ukazania się na dworze cesarskim odpowiadał zazwyczaj, że ma ubranie wytarte, a gdy mu się mówiło, że stać go na kupno nowego ubrania, odpowiadał najzwyczajniej, że nigdy o tem nie myślał. Na tem rozmowa się kończyła.

Z trzech synów Augusta, Fritz był jedynym, który wykazywał zainteresowanie do handlu. Po ukończeniu swoich studjów uniwersyteckich otrzymał on wysokie stanowisko w przedsiębiorstwie i pensję 50 marek miesięcznie, bez dodatków za godziny nadliczbowe. Po ukończeniu swojej pracy bywał zapraszany do prywatnego gabinetu ojca i laboratorjum, aby się wtajemniczał we wszystkie zawiłe sprawy interesu.

Robotnicy zaczęli go nazywać „der junge Her". Stary pan, młody pan i tysiące urzędników prowadzili życie patrjarchalne. August Thyssen był ojcem swoich robotników, którzy w staromodnym domu niemieckim uważali go za autokratę. Wybudował dla nich domy, ale nie tolerował socjalizmu, który uważał za ruch przestępczy. On i syn jego jadali „Wurst" i pili tanie piwo w towarzystwie swoich robotników. W niedzielę chodzili na mszę do jednego z kościołów, które on wybudował.

Wojna światowa dźwignęła odrazu zakłady stalowe Thyssena, które stały się głównemi fabrykami amunicji Niemiec. Gdy francuzi zajęli obszar Ruhry, magnaci przemysłowi tego obszaru postanowili pogodzić się z nieuniknionym losem. Ale Thyssenowie z tym stanem rzeczy pogodzić się nie chcieli. Szef firmy miał już wtedy lat 80, ale był jeszcze pełen energji i wigoru. Thyssenowie odmówili posłuszeństwa francuskim rozkazom, i Fritz pociągnięty został do odpowiedzialności sądowej. Przed francuskimi sędziami zadeklarował swoją wiarę w sprawę Niemiec i odmówił poddania się rozkazom francuskiej władzy wojskowej. Skazano go na więzienie, i kiedy odprowadzali go uzbrojeni strażnicy, ojciec powiedział mu głośno, że to był najchlubniejszy dzień w jego życiu.

Zamek na wzgórzu

Po zniesieniu okupacji Ruhry Fritz został jedynym władcą królestwa ojca. Nowy władca był odmiennego pokroju, tak samo, jak jego podwładni. Fritz Thyssen już nie jadał Wurst i nie pił piwa w towarzystwie swoich robotników. Jeździł autem do swego zamku Landsberg w Ruhrze. Ten wielki budynek wilhelmowski na szczycie pagórka symbolizował potęgę Thyssena.

Również podwładni królestwa Thyssena nie byli już podobni do tych, z którymi stary Thyssen chadzał do kościoła. Rewolucja uprzątnęła duch patrjarchalny, i Niemcy stały się republiką. Właściciel fabryki nie był już ojcem swej trzody, lecz kapitalistą, którego moc należało ukrócić w interesie sprawiedliwości społecznej, — jak zapewniali przedstawiciele klasy pracującej. Rady fabryczne obecnie żądały udziału w kierownictwie, a prawodawstwo socjalne pozbawiło Fritza Thyssena dawnej władzy autokratycznej Augusta Thyssena.

Thyssen twierdził uparcie, że zły stan interesów jest winą socjalistów. „Oni są naszymi największymi wrogami", mawiał do swoich kolegów, magnatów Ruhry.

Thyssen zaczął się interesować polityką. Wielu z jego sąsiadów popierało partję ludową, która była za republiką i pokojem honorowym. Thyssen rozpoczął nagonkę na republikę i na pokój. W reżimie weimarskim widział on utrwalenie „hańby wersalskiej".

Francuzów nigdy nie lubił, szczególnie od czasu, gdy został skazany przez sąd wojskowy. Przeniósł on swoje osobiste urazy na naród i żądał polityki mocnej ręki. W zmartwychwstaniu cesarskich Niemiec pokładał nadzieję na nową erę, kiedy kapitalista będzie panem, a socjalista będzie postawiony poza prawem. Przystąpił do partji nacjonalistów, która była monarchistyczna i reakcyjna, i tak samo, jak on, była za wytępieniem czerwonego niebezpieczeństwa. Stał się duszą nacjonalistycznego Stahlhelmu, organizacji, która wierzyła w wojnę jako lekarstwo na choroby Niemiec.

Sytuacja stale się pogarszała. Niektóre największe towarzystwa stalowe Niemiec zjednoczyły się w „Vereinigte Stahlwerke", których Thyssen był nominalnym szefem. Burza ekonomiczna wstrząsnęła Europą, stal wyrzucono z pozycji panującej, i stanowisko Thyssena w Syndykacie stalowym zostało osłabione. Inni ludzie, bardziej elastyczni i przystosowani do nowych idei, pretendowali do zajęcia jego miejsca.

Otto Wolf, który uchodził w oczach Thyssena za intruza, użył swoje stosunki z panującą wówczas partją Centrum Katolickiego, aby wzmocnić swoje stanowisko.

Ratunek w hitleryzmie

Krach z roku 1931 doprowadził Niemcy niemal do bankructwa. Spowodu trudności rodzinnych Thyssen znajdował się w gorszych warunkach, niż jego konkurenci. Jeden z jego braci Henryk zażądał likwidacji spadku. Fritz przejął jego udział za wysoką cenę. Tymczasem krach giełdowy wciągnął stal w otchłań, i Thyssen znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Wtedy rzucił się w objęcia narodowego socjalizmu. Spekulował na powodzenie Hitlera i był gotów podać mu rękę pomocy. Masy zwróciły się do austrjackiego malarza pokojowego dla tych samych powodów — wypróbowały one prawie wszystko, a tu zjawiło się coś nowego. Jeżeli Hitler mógł mieć przemysłowców za sobą, to któż był w stanie zatrzymać jego pochód do zwycięstwa.

Dla wielu magnatów Ruhry socjalizm narodowy był ruchem bardzo podejrzanym. Czy hitlerowcy nie propagowali końca ery kapitalistycznej?

Thyssen starał się rozproszyć te obawy. „Ważną jest strona narodowa tego ruchu", zapewniał on. Hitleryzm obiecywał zniszczenie traktatu wersalskiego. Przedstawiał on pokojowość republiki jako tchórzostwo, a wojowniczość przyszłej Trzeciej Rzeszy, jako odwagę. Rząd Hitlera zobowiązał się uzbroić Niemcy, a to byłoby doskonałym interesem dla baronów stalowych. To byłby rząd autorytatywny, co nie było na rękę socjalistom. Hitler nic nie wiedział o ekonomice, a dawać mu rady w takich sprawach byłoby dobrym interesem dla każdego, kto jest dość sprytny, aby uchwycić złotą okazję.

W ten sposób narodowy socjalizm znalazł wstęp do zamkniętych gabinetów dyrektorów Renu i Ruhry. Thyssen wytłumaczył swoim kolegom, czego oni mogą się spodziewać od rządów Hitlera. W jego słowach było przekonanie, i udało mu się zjednoczyć grupę kapitalistów, którzy dali miljony na cele wyborcze tak zwanej partji „socjalistycznej".

W styczniu ostatniego roku odbyła się tajna konferencja w domu przyjaciela Thyssena w Kolonji. Brali w niej udział pp. Hitler i von Papen. Tu porozumieli się oni co do wspólnej polityki, która gwarantowała Führerowi stanowisko kanclerza Rzeszy. Prezydent Hindenburg wytrzymał tak długo, dopóki nie przekonano go, że ciężki przemysł, reprezentowany przez Thyssenów i Hugenbergów, stoi za plecami narodowego socjalizmu.

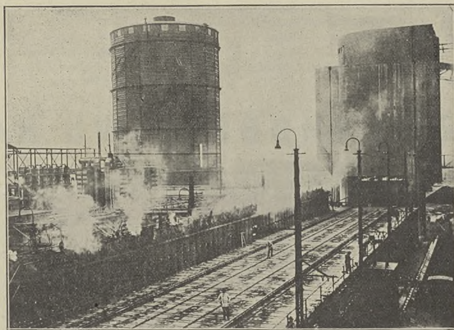
Niepewny związek

Thyssen znowu zajmuje czołowe miejsce w Ruhrze. Pobił on swoich konkurentów, a krwawa sobota zapewniła grupie hitlerowskiej, przynajmniej chwilowo, najwyższą władzę w ruchu narodowo-socjalistycznym. Thyssen nie oszukał swoich kolegów, gdy zapewniał ich, że socjalizm to tylko parawan.

Thyssen teraz cieszy się z tego samego patrjarchalnego spokoju, jaki ojciec jego uważał za tak sprzyjający jego interesom. Rady fabryczne pozbawione władzy a socjaliści nie mają odwagi otworzyć ust. To jest Trzecia Rzesza Thyssena, o której urzeczywistnienie walczył tyle lat.

Ale jaki los czeka Thyssena po Hitlerze? Ten związek małżeński ze sprawą hitlerowską może jeszcze mu przysporzyć nowych kłopotów. Może on zapewniać, że jego czyny kierowane były wzniosłemi motywami patrjotyzmu, ale czy jego rywale przyjmą jego usprawiedliwienie? Czy nie zechcą mu odpłacić jego własną monetą. Fritz Thyssen może jeszcze nauczyć się prawdziwej mądrości od swego ojca, że należy trzymać się zdala od dworu władców politycznych spowodu wytartego ubrania.

„The New York Times Magazine", New York.



Wielka gazownia i koksownia nad Renem, należąca do Thyssena.

Benito Mussolini

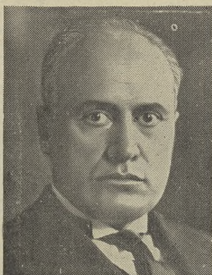
BIAŁA RASA WYMIERA

Wielkie wrażenie wywołał w Europie artykuł dyktatora włoskiego, ogłoszony jednocześnie w kilku pismach europejskich. Podajemy ten artykuł za „Sunday Express".

Kiedy w roku 1926 w mowie publicznej dałem po raz pierwszy wyraz zaniepokojeniu, spowodu grożącego wymarcia białych ras, niektórzy uważali moje ostrzeżenia bądź nie na czasie, bądź za przesadne.

Od tej chwili upłynęło osiem lat, podczas których fatalne wymieranie trwało na ial, i dał się nawet zauważyć wzrost tego procesu wymierania.

Dziś ze wszystkich stron świata słychać głosy alarmu.



Na Węgrzech silnie krytykowany jest zwyczaj rodziny z jednem dzieckiem.

W republice argentyńskiej, gdzie mogłyby żyć w dostatku od osiemdziesięciu do stu miljonów ludzi, spadek urodzeń jest katastrofalny. Przewaga urodzeń jest tak szczupła, że jak przewidują, w roku 1939 ludność będzie się składała z dwunastu miljonów mieszkańców. Będzie to dwanaście miljonów ludzi starych.

Mniej małżeństw

Prawdziwie dramatycznie brzmi odezwa wystosowana przez dwudziestu wybitnych polityków, uczonych i artystów francuskich, aby uświadomić naród francuski o fatalnym losie, jaki go czeka.

Odezwa ta brzmi:

Ilość urodzeń zmniejszyła się we Francji o 40.000 od roku 1932 do 1933. Spadła do 682.000, podczas gdy przed 1870 liczba urodzeń wynosiła przeszło miljon.

Jutro będzie widoczny znaczny spadek ilości ślubów — co jest nieuniknionym skutkiem spadku ilości urodzeń w przeszłości, a szczególnie w czasie wojny. Naskutek tego jednego faktu niedługo będziemy mieli spadek o przeszło 80.000 urodzeń rocznie.

Oprócz tego, jeżeli płodność młodych małżeństw francuskich będzie się zmniejszała z szybkością ostatnich sześciu lat, to można z matematyczną ścisłością przewidzieć, że Francja nie będzie miała więcej, niż 550.000 przyrostu rocznego w ciągu dziesięciu lat.

Ilość wypadków śmierci w tym czasie będzie znacznie większa, niż ilość urodzeń.

Już teraz depopulacja spowodowała zubożenie wielu departamentów, gdzie wsie znikają, a gospodarstwa rolne upadają zupełnie.

Jeżeli pozwoli się na to, aby odsetek urodzeń spadał jeszcze niżej, doprowadzi się do tego, że naród francuski stanie się narodem starców, i Francja będzie skazana na coraz większe osłabienie.

Razem z depopulacją nastąpi upadek rolnictwa, handlu i przemysłu wskutek braku konsumentów.

Państwo stanie się niewypłacalnem przez brak płatników podatkowych, a kraj nie będzie miał możności obrony swych granic dla braku ludzi zdolnych do stawiania oporu.

Niebezpieczeństwa te nie są dalekie, lecz tuż za drzwiami.

Niema ani jednej godziny czasu do stracenia. Należy już szukać środków zapobiegawczych.

Odezwa podpisana jest przez dwóch exprezydentów Republiki, Poincarego i Millerand, Heriota, kardynała Verdier i marszałka Focha.

Po pewnym czasie ukazała się druga odezwa, ogłoszona przez Narodowy Związek dla Powiększenia Ludności Francuskiej, w której powiedziano:

Liczba urodzeń we Francji zmniejszyła się o trzecią w ciągu ostatnich pięciu lat.

Francja posiada już największy procent starych ludzi w porównaniu z każdym innym narodem (14 procent wobec 9 procent dla Niemiec, i 7 procent dla Rosji).

Nawet w W. Brytanji spadek urodzeń zaczyna poważnie niepokoić umysły. Trudno jest utrzymać Imperjum, jeżeli metropolja starzeje się i umiera.

Historja wskazuje nam, do jakiego upadku prowadzi zmniejszenie się ilości urodzeń.

Polybius mówi nam o bezpłodnych miastach greckich, które stały się łatwym łupem dla zaborców rzymskich.

Upadek Rzymu rozpoczął się wraz ze spadkiem liczby urodzeń, kiedy państwo zmuszone było uciec się do pomocy wynajętych wojsk.

Był moment, kiedy dla zabezpieczenia sobie dostatecznej ilości wysokich gwardzistów cesarskich, Rzymianie musieli rekrutować „Batavi" w Holandji, zdobytej przez Juljusza Cezara.

Najgorszą stroną zjawiska jest starzenie się ludności.

Starzejąca się ludność

Podczas gdy w wielu miejscowościach Francji szkoły są zamykane dla braku uczniów, w innych miejscowościach szkoły są uczęszczane przeważnie przez synów cudzoziemców, włochów, polaków i hiszpanów.

Ciężary finansowe dla tej chorej na umiąd starczy ludzkości wzrastają z roku na rok.

Jeżeli ten stan rzeczy się nie zmieni, to można przewidzieć, że Francja przy końcu obecnego stulecia będzie miała ludność mniejszą, niż obecnie Hiszpanja.

A są państwa europejskie, gdzie procent urodzeń jest jeszcze mniejszy, niż we Francji.

Że spadek urodzeń nie ma nic wspólnego z sytuacją ekonomiczną, widać to z faktu, powszechnie znanego, że dobrobyt i bezpłodność idą ręka w rękę, podczas gdy najpłodniejszą klasą ludności jest zarazem najuboższa materjalnie, która pozostała jeszcze moralnie zdrowa i nie pozbawiła życia sensu boskiego przez egoistyczne kalkulacje.

Ubiegłe stulecie w całej pełni stosowało teorję Malthusa, według której wzrost ludności prowadzi do głodu wskutek braku środków żywności, a przecież świat może utrzymywać ludność dwadzieścia razy większą od obecnej.

Bogactwa Stanów Zjednoczonych Ameryki są wystarczające dla utrzymania ludności pięciokrotnie większej, niż obecna ilość mieszkańców.

Kanada może dawać utrzymanie ludności dwudziestokrotnie większej, niż obecna.

Obszerne połacie w Południowej Ameryce są jeszcze prawie zupełnie dziewicze.

Tak samo niektóre obszary w Afryce, Australji i nawet w Europie, podczas gdy w Azji jest jeszcze więcej tych gruntów zupełnie niewyzyskanych.

Kryzys, jaki obecnie przeżywamy, nie jest spowodowany przez głód, jak to każdemu obecnie wiadomo.

Bez potomstwa

Jest to właściwie kryzys zbytku, spowodowanego w dużej mierze spadkiem przyrostu ludności w wielkich ośrodkach przemysłowych.

Gorsze jeszcze jest to, że tak zwana inteligencja u różnych narodów nie daje dostatecznego potomstwa. Zadawalają się jednem albo dwojgiem dzieci, albo wolą wcale ich nie mieć.

O środkach, jakie należy przedsięwziąć, i o rezultatach, jakie te środki mogą przynieść, można dyskutować setki lat.

Wiele rządów obecnie przyjęło politykę, zmierzającą do powiększenia ludności. My w Italji przyjęliśmy tę politykę w roku 1926.

Jest jeszcze zawcześnie wydawać sąd o wynikach. Bądź co bądź, w Italji jest to kwestja życia lub śmierci, jak również w wielu innych krajach, zamieszkałych przez białe rasy.

Chodzi o to, czy w obliczu liczebnego wzrostu ras żółtej i czarnej i wobec ich ekspansji, cywilizacja ludzi białych skazana będzie na zagładę.

„Sunday Express", Londyn.

CZY SAMOBÓJSTWO RASY BIAŁEJ?

Ciekawem uzupełnieniem artykułu Mussoliniego jest artykuł fachowego lekarskiego tygodnika francuskiego. Artykuł ten świadczy o zainteresowaniu we Francji dla spraw populacyjnych.

Mieszkańcy starożytnej Kartaginy wrzucali setkami żywe dzieci w buchające płomieniami objęcia potwornego posągu Molocha. Wierzyli, iż ta straszliwa ofiara zapewni ich interesom handlowym błogosławieństwo bogów.

W ciągu siedmiu dni rzymscy żołnierze zburzyli Kartaginę. Rzymskie tarany obróciły w gruzy domy miasta. Mieszkańcy znaleźli śmierć w płomieniach, pod rumowiskami zawalonych budynków. Piasek pustyni zrównał wszystko. Nie pozostało śladu po dumnym grodzie.

Tak oto zginęła cywilizacja, oparta na handlu i ubóstwianiu pieniądza.

Składanie ofiar przez fanatycznych mieszkańców Kartaginy możnaby porównać z postępowaniem współczesnych ludów cywilizowanych. Czy tak rozpowszechnione obecnie zabijanie płodu w łonie matki nie jest ofiarą Molochowi? Czy ubóstwianie pieniądza nie panuje wszechwładnie w krajach rasy białej? Miljony istot ludzkich niszczy się w zaraniu ich życia. Czyni się to rzekomo w imię dobrobytu, a wynikiem jest zastraszający spadek liczby urodzeń.

Przed kilkudziesięciu jeszcze laty, bardzo często można było spotkać w krajach europejskich rodziny, liczące po 10—12 dzieci. Obecnie rzadko widuje się rodziny, mające 3—4 dzieci, zaś przeważającą większość stanowią rodziny o 1—2 dzieciach.

W ostatnich latach ilość urodzeń spadła do ⅓ dawnej liczby. Przyrost ludności zmniejszył się o połowę w stosunku do wieku XIX.

W stolicach europejskich rozrodczość spadła o ¾. Równocześnie w tym samym stosunku obniżyła się ilość zawieranych małżeństw.

Za kilkanaście lat okażą się zgubne następstwa wspomnianego stanu rzeczy. Naprzykład, w Niemczech obniży się wkrótce ilość małżeństw o cały miljon.

Zmniejszenie się śmiertelności wskutek poprawy warunków higienicznych nie może wyrównać spadku liczby urodzeń.

PRZEWAGA STARCÓW

Wszystko to prowadzi do stosunkowej liczbowej przewagi starców nad młodzieżą, co wreszcie uczyni z europejczyków — narody starców.

Zgoła inne stosunki panują w tej dziedzinie wśród ludów rasy żółtej z Japonją na czele. Ilość urodzeń w krajach Dalekiego Wschodu jest trzykrotnie większa, niż w Europie.

Jeżeli nadto uwzględnić zawrotny rozwój ekonomiczny Japonji, wówczas zrozumiałą się stanie cała zgroza „żółtego niebezpieczeństwa".

ŻÓŁTE NIEBEZPIECZEŃSTWO

W parze z pomyślnym rozwojem ludności odbywa się wzrost potęgi ekonomicznej Japonji. Wówczas, gdy w krajach rasy białej szaleje kryzys, Japonja ustawicznie wzmaga swoją wytwórczość. W ostatnich latach wywóz z Europy i Stanów Zjednoczonych zmniejszył się przeciętnie o 20%, tymczasem Japonja zwiększyła swój wywóz o 50%.

Jeżeli ludy białe nie naprawią dotychczasowego stanu rzeczy, jeżeli nadal trwać będzie ciągłe a postępujące wyludnienie, wówczas prędzej czy później Azja okaże swoją potęgę i odniesie zwycięstwo nad rasą białą.

Nie pomoże wyższość kultury rasy białej. Ludy Azji, które pełne są sił żywotnych i energji, mają wszelkie szanse zwycięstwa.

Jeszcze czas naprawić błędy!

Dzieje narodów są wynikiem zmiennych czynników. Wielkie potęgi mogą upaść, lecz mogą również podźwignąć się z upadku. Wszystko zależy od niezłomnej woli do życia.

„Presse Médicale", Paryż.

TARGI O PIASKI SAHARY

Poza huraganowym ogniem oburzenia prasy włoskiej przeciwko Niemcom i poza koncentracją wojsk włoskich nad granicą austrjacką, Mussolini jest zajęty ważną rozgrywką polityczną, mającą na celu urzeczywistnienie włoskich planów podziału Afryki.

W maju b. r. pertraktacje między Rzymem, Paryżem a Londynem były już dość daleko posunięte. Przedmiotem rozmów był plan Mussoliniego — na razie jeszcze nie znajdujący się w fazie bezpośredniej realizacji, — mający na celu przekształcenie Libji na ośrodek wielkiego imperjum kolonjalnego w środkowej Afryce.

Włochy mogą zrealizować ten plan tylko stopniowo, krok za krokiem. O każdy kilometr górzystej krainy Tibesti na drodze do jeziora Czad, trzeba się uparcie targować.

Anglja ma szczególne powody, aby iść na rękę Włochom. Włochy muszą dostać rekompensatę za zgodę na Locarno Wschodnie.

Miesiąc temu Anglja i Włochy podpisały traktat libijski, mocą którego granica włoska w Libji została przesunięta aż do granic francuskiej Afryki ekwatorjalnej.

Włochy uzyskały w ten sposób tylko pustynny trójkąt, na którym znajdują się zaledwie dwie oazy: w Ain Dana i Ain Zueia.

Lecz te dwa źródła w morzu piachów stanowią ważne punkty strategiczne. Stanowią one łącznik na szlaku karawanowym między krainą górnego Nilu a oazami Erdi, Ennedi i Borku.

Anglja w ten sposób otworzyła włoskim imperjalistom drogę do jeziora Czad. Przysługa to bynajmniej nie błaha.

Ale to jeszcze nie wystarcza.

Mussolini bowiem stara się obecnie w Paryżu, aby przesunąć granicę jeszcze o trzy stopnie szerokości geograficznej na południe. To dałoby Włochom wraz z Tibesti, które daje dostęp do jeziora Czad, dostęp i do Kongo francuskiego.

Przedstawiciele francuskiego kapitału kolonjalnego nie entuzjazmują się zbytnio temi planami włoskiemi i doradzają p. Barthou, aby nie zapłacił zbyt wysokiej ceny za przyjaźń włoską.

Nie jest prawdopodobne, by powzięto jakąś decyzję przed jesienią, to znaczy przed wizytą p. Barthou w Rzymie. W każdym razie Mussolini nie znajduje się obecnie w zbyt korzystnej sytuacji, by móc aż domagać się koncesyj od Francji.

Duce stracił ważne pozycje na Bałkanach; doznał utraty prestiżu w Turcji i w Azji Mniejszej. Tak samo przedstawia się sytuacja w Arabji; stracił również wiele szans gospodarczych w Japonji.

Również przymierze francusko-rosyjskie i jego zerwanie z Niemcami w znacznej mierze osłabiły jego atuty w tych targach dyplomatycznych.

„Sunday Referee", Londyn.

CHRYSTUS DLA TURYSTÓW

Oberammergau, przedsiębiorstwo teatralno-religijne

Monachjum, stolica artystyczna Niemiec, to etap na drodze do Oberammergau, gdzie grają Mękę Pańską.

— Mogę postarać się panom o bilet — proponuje usłużny portjer monachijskiego hotelu, — i jeszcze tego wieczora będziecie panowie mogli wyruszyć w dalszą podróż.

— My jednak wolimy zostać tu na noc. Jutro o świcie wyruszymy i w dwie godziny będziemy na miejscu.

— Żałuję bardzo, ale trzeba koniecznie przenocować w Oberammergau. Takie jest rozporządzenie „Amtliches Bayerisches Reisebüro". Kto nie wykupi karty hotelowej na pobyt, nie dostanie biletu na przedstawienie. A może panowie pragną mieszkać u kogoś prywatnie? Podczas Męki Pańskiej każdy wynajmuje swoje mieszkanie. Niech panowie nie obawiają się, że będą się tam nudzić! Nic podobnego. Znajdziecie tam winiarnię, nocne lokale, wspaniałe wina, szampan, reńskie, moselskie, kobiety, muzykę, jednem słowem, wszystko, czego dusza zapragnie!



Chrystus — Aloys Lang.

Zadaniem tego człowieka jest dostarczenie klientom biletów na przedstawienie, wozów na wycieczki oraz rozrywek wszelkiego rodzaju. Służbę swoją pełni z dużą inteligencją i jeśli zaproponuje gościowi jakąś miłosną przygodę, wpierw rozgląda się, czy ktoś nie podsłuchuje.

Zato o Marji Magdalenie i Jezusie Chrystusie na krzyżu można z nim rozmawiać głośno.

Ciągną z tego, ile kto może. Sprzedają Mękę Pańską, jak piwo. Namawiają na drogą konsumcję. Musi się wynająć drogi hotel z utrzymaniem najmniej na dwa dni, w przeciwnym razie nie pozwolą rozmyślać nad Jego Męką.

— Kto podsunął im myśl takiego świetnego interesu?

— Zaraza podczas trzydziestoletniej wojny. Niepogrzebane trupy i straszliwa nędza wywołały epidemję, która szerzyła straszne spustoszenie wśród ludności Bawarji. Wówczas mieszkańcy okolic Oberlandu i Ammergau ślubowali, że jeśli Bóg ocali ich przed zarazą, będą co dziesięć lat urządzać wielkie misterjum Męki Chrystusowej. Ostatnie przedstawienie odbyło się w 1930 roku, przedtem w 1922, to znaczy z przerwami ośmio i czteroletnią. Z tej kolejności wynika, że następne odbędzie się w 1936 roku.

— Co oznacza skrócenie tej przerwy? Dlaczego nie dotrzymują ślubu, jak obiecywali Bogu: co dziesięć lat jedno przedstawienie?! Czy w tej chwili grozi Oberammergau większa zaraza, niż w roku 1633? Są już może jakieś objawy? Jeśli to misterjum jest środkiem leczniczym przeciw zarazie, to widocznie stan sanitarny waszego kraju jest obecnie bardziej niepokojący, niż w latach 1914—1918?

— Nie, niech pan tego nie mówi! Ammergau jest wspaniałym, zdrowym krajem. To nie przeciw zarazie urządza się Mękę Pańską, to dla celów turystyki. W 1633 roku ludzie uciekali stąd przed zarazą. Dziś ściągają do nas tłumy. W 1900-ym roku było dwieście tysięcy pielgrzymów, w 1919, wtedy trzymano się jeszcze systemu dziesięcioletniego, było już trzysta tysięcy. Klientela ma wymagania. Trzeba je zaspakajać. Ona żąda widowiska Męki Pańskiej zdaje się, będziemy musieli urządzać je co roku. Monachjum robi na tem doskonały interes. Dla Oberammergau to prawdziwe szczęście. Proszę — oto pański bilet. Daje prawo do dwudniowego pobytu, licząc od początku przedstawienia do dnia następnego. Dojdą tu jeszcze trzy marki na koszty wpisu i napiwki. Przedstawienie rozpocznie się o godzinie ósmej rano. Życzę panom wesołej zabawy! Jeszcze jedno: nie zapomnijcie wziąć ze sobą poduszki, bo siedzenia w teatrze są bardzo twarde.

*

Oto jesteśmy już w drodze, przez ten uroczy, naprawdę ciekawy kraj. Fabrykują tu dobre piwo, prymitywny chrystjanizm, wyroby ceramiczne i piękne rzeźby z drzewa.

W pobliżu Oberammergau mijamy auto, prowadzone przez pięknego młodzieńca. Zwraca naszą uwagę swoją wytworną fryzurą. Długie blond włosy, misternie ondulowane, wichrzy silny pęd auta. Na łące przy sianokosach miga nam po drodze sylwetka odświętnie przybranego mężczyzny, który gładzi jedną ręką starannie ułożone włosy, podczas gdy drugą ręką popędza woły. Przybyliśmy na miejsce. Walizy odbiera od nas okazały strażak w błyszczącym, stalowym hełmie. Jego zadaniem jest przyjmowanie turystów, oraz czuwanie nad niebezpieczeństwem pożaru w mieście, którego domy są przeważnie drewniane. Kwiaty w oknach, uroczyste stroje i fryzury nadają ludziom i miastu wygląd sceny z operetki.

Słychać głos tenora. Rzeźbi coś na krzyżu, w bogato strojnej kaplicy. Jest tym, który grać będzie Chrystusa. On również jest misternie ufryzowany i to nietylko na głowie. Ma piękne zrobioną brodę i wąsy. Podobny jest do pierwszych chrześcijan z obrazów Rafaela, jak przystało na artystę Męki Pańskiej. Aby nim zostać trzeba mieć nietylko talent artystyczny, musi się być dobrym mężem i synem, uczciwym pracownikiem, unikać kabaretów i zbytniego przestawania z kobietami.

Strażak umieścił nas w schludnym domku, tonącym w powodzi kwiatów, do którego wchodzi się po drewnianych, pachnących sosną schodach. Na ulicach wskazówki dla turystów z zagranicy: Western Union Telegraph, Cook's Tours, Lloyd Triestino, White Star Line...

Biura podróży, właściciele taksówek i giełdziarze zgrupowali się dookoła bussinesu chrystusowego, najpoważniejszego przedsiębiorstwa Bawarji hitlerowskiej w 1934 r., jeśli pominiemy piwo — Munich Export.

Bawarczycy zachowali swoje kostjumy narodowe. Rosłe chłopy, najlepszy żołnierz niemiecki. Noszą szerokie spodnie sięgające do kolan, haftowane, kolorowe bluzy z pasami, zdobnemi w mosiężne guzy. Na czapce z zielonego filcu białe pióro orle. W winiarni, poleconej nam przez portjera monachijskiego hotelu, zbiera się wiele gości. Kobiety z karminem na ustach. Usługują urodziwe góralki, którym sprowadzono do pomocy dziewczęta niemieckie z Palatynatu i Alzacji, gdyż te z Monachjum nie mogą sobie poradzić z napływem gości podczas Męki Pańskiej.

Przedstawienie rozpoczyna się o godzinie ósmej rano. Na głos dzwonów odzywa się orkiestra kościelna, ukryta pod sceną. Pięć tysięcy widzów zajęło już swoje miejsca. Siedzą tak do szóstej godziny wieczorem, z dwugodzinną przerwą obiadową. Żywych obrazów jest dwadzieścia cztery, po trzy na godzinę. Pokazują je w głębi proscenium pod gołem niebem. Każdy obraz poprzedza występ chóru, składającego się z czterdziestu czterech osób i odpowiednie objaśnienie w formie recytacji.

Piękna „piechota" bawarska wchodzi na scenę z dwu stron. Kroki ich są tak dokładnie wyliczone, że oba skrzydła spotykają się na scenie dokładnie w tej samej chwili. Za pierwszym razem robi to wspaniałe wrażenie. Za drugim zaczyna nudzić, za piątym ogarnia wściekłość albo sen, zależnie od temperamentu.

Czterdzieści osiem razy w ciągu dnia jest się świadkiem defilady całej trupy przed recytacją i po jej zakończeniu. Kiedy osoba w złotej koronie, grająca główną rolę, poda treść obrazu, opada kurtyna: Adam i Ewa wypędzeni z raju, ślepy Tobiasz, Józef sprzedany przez swoich braci... Monotonny śpiew chóru, nieruchoma postawa artystów wytwarzają atmosferę zmęczenia, coprawda przy akompanjamencie pięknej muzyki. Gdzie podział się zapał? Ta stylizacja mieszczuchów na kabotynów, dyrygowanych przez Kapellmeistra, jest nieomal sztubacka.

Wreszcie przychodzą sceny z Nowego Testamentu, które ożywiają tę usypiającą rapsodję. Wejście Chrystusa do Jeruzalem jest prawdziwym triumfem sztuki teatralnej. Trzysta osób na proscenium pod gołem niebem! Poznajemy wśród nich tancerzy zeszłego wieczora. Ci sami, tylko w nowej roli. Krzyczą, hałasują, żyją! Noc spędzona na pijatyce i tańcu nie przeszkadza ich ekstazie dla Chrystusa. Są znakomitymi obywatelami Jeruzalem za panowania Poncjusza Piłata.

Oto Chrystus, słynny Aloys Lang, syn Antoniego Langa, który grał tę rolę w 1900 i 1922 roku. Jednem słowem: rodzina Jezus. Niektórzy wogóle twierdzą, że Lang jest z pochodzenia żydem. Nazwisko to jest bardzo popsolite zarówno u żydów niemieckich, jak i u chrześcijan. To pochodzi jeszcze z czasów cesarza Franciszka II-go, który dla łatwiejszego rozpoznania żydów kazał im przybierać nazwiska, gdy dotąd, jak arabowie mieli tylko imiona swoje i ojca: Mohamed syn Mustafa, Abraham syn Jakóba i t. d. Musieli zato ograniczyć się do niewielkiej liczby nazwisk. Nie pozwolono im naprzykład nazywać się Hohenzollern. Ale zato mieli Langów, Mejerów, Rosenbergów, Rosentalów, Rosenblitów, Rosenau'ów, Rosenauerów, Rosenbaumów, samych Rosen, niby w jakim ogrodzie...



Judasz odpoczywa po przedstawieniu.

Jezus-Chrystus — Aloys Lang ma dziedziczne nazwisko żydowskie i umiera na krzyżu dwa razy w tygodniu co jest bardziej korzystne dla niego, niż interesujące dla tych, którzy na to patrzą. Zdejmijcie koronę cierniową z czoła tej owłosionej twarzy, a będziecie mieli przed sobą koszarowego chłopaka, prawdziwego podoficera bawarskiego, o twardej pięści i wulgarnym głosie. Ten Chrystus z „koszar" przechadza się krokiem ewangelicznej parady po gaju Oliwnym. Gdyby Chrystus miał naprawdę taką postawę jak on, chrześcijanizm nigdy nie ujrzałby światła dziennego. Dla samego uniknięcia widoku tego nadmiernie gadatliwego kabotyna, warto omijać zdaleka Oberammergau.

„Passionspiel" to dzień wielkiej nudy bawarskiej. Jacy wy francuzi jesteście grzeczni, — odzywa się za nami pewna pani, znająca nasz język.

Pozostało nam jeszcze sprawdzenie wpływu Męki Pańskiej na uczucia religijne miejscowej ludności. Widzieliśmy to przed pewnym barem, do którego wstępowali liczni turyści, by zobaczyć Aloys'a Langa, pokrzepiającego się tutaj z legjonistami Golgoty. Policjanci w stalowych hełmach schwytali pewnego bawarczyka, którego właściciel baru posądził o usiłowanie kradzieży. Nie było ani świadków, ani żadnych dowodów, tem niemniej został aresztowany. Coby się stało z religją... turystyki, gdyby podróżni mogli przypuszczać choć przez chwilę, że w Oberammergau toleruje się wypadki kradzieży?! Biedny bawarczyk w haftowanej bluzie, poznał cnotę chrześcijańską, za pośrednictwem Schutzpolizei...

Był to naprawdę budujący widok dla księży i biskupów rozmaitych obrządków, którzy przyszli tu podziwiać Mękę Pańską. Ten chłop, który nie miał nawet włosów ufryzowanych, i tem samem nie mógł zarobić dwunastu marek dziennie, jako statysta Męki Pańskiej, był jedynym prawdziwym obrazem tego dnia. Jego wycie, szamotanie się z policją, gdy twierdził, że jest niewinny, było pełne prawdy ludzkiej. To nauczy go co myśleć o własnym kraju, który ma swego Chrystusa dla turystów...

„Voila", Paryż.

Zwalczanie chrześcijaństwa w Niemczech

Gazety i czasopisma, mające na celu zwalczanie chrześcijaństwa, powiększają stale swoje nakłady, a jest ich coraz więcej. Pogańskie czasopismo „Der Brunnen" ma nakład 11.500 egzemplarzy, „Nordland" 7.000 egzemplarzy, „Deutscher Glaube" (Ruch Hauera) 7.500, „Reichswart" (Niemiecki ruch wyznaniowy) 17.000 egzemplarzy. „Am heiligen Quell deutscher Krafte" (przy świętem źródle sił niemieckich, organ Matyldy Ludendorf, żony generała) 26.000 egz. „Der Weisse Berg" (Organ Weissenberga) 7.000 egz. „Weisse Fahne" (ruch nowopogański) 70.000 egz., a tygodnik astrologiczny „Neues Deutschland" (Nowe Niemcy) ma nakład wprost olbrzymi, bo 175.000 egzemplarzy. Tej powodzi papieru zatruwającego umysły narodu trzeba koniecznie jaknajenergiczniej przeciwdziałać.

„Der Katholik", Monachjum.

Papież — to wróg

Hitler czy papież — oto kwestja, od której zależy istnienie państwa narodowo-socjalistycznego. Zagadnienie to jest związane z losem narodu niemieckiego od chwili, kiedy Karol pogromca sasów dał się przez papieża Leona III ukoronować na rzymskiego cesarza narodu niemieckiego. Od tego nieszczęsnego dnia Niemcy znajdują się pod jarzmem rzymskiego papiestwa, które jest dziełem djabła. Tylko ci niemcy, którzy są zupełnie ślepi, nie widzą, że papież jest duszą polityki, dążącej do okrążenia Niemiec i że tym razem znowu pragnie, aby Niemcy Lutra udusiły się we własnej krwi.

„Deutsche Volkskirche", Düsseldorf.

Sylwetka wielkiego pisarza Sinclair'a Lewis

Wysoki, smukły, o siwiejących włosach, powieściopisarz, pierwszy amerykanin, który zdobył nagrodę Nobla, Sinclair Lewis jest uznany za najlepszego autora w Stanach Zjednoczonych.

A jednak nie lubi on pisać.

Pisze jednak. Kilka miesięcy musi upłynąć między jedną powieścią a drugą, zanim nabierze nowych sił i energji do pracy nad dziełem następnem. Zabrawszy się do roboty, pracuje on w straszliwem wprost skupieniu. Ponieważ zaś nie jest szczególnie silny, takie gwałtowne zapracowywanie się bardzo go wyczerpuje.

Podczas pracy ciągle jest w ruchu. Siada na jednem krześle, potem na drugiem, potem zwisa z poręczy fotelu. Jego nerwy są napięte. Goniąc z tematu na temat, mówi bez wysiłku. Pali bez wytchnienia. Popiół zsypuje, gdzie tylko się da, ale nie tam, gdzie należy.

Jego małżonka, Dorothy Thompson (z pierwszą żoną, Grace Hegger, Lewis jest rozwiedziony) powiada, że rozmowa jest jego główną rozrywką. Interesuje go tylko kilku przyjaciół; takich, do których może wpaść o każdej porze, nawet wyciągnąć ich z łóżka, by pomówić na jakiś temat, który mu nagle strzelił do głowy

Nienawidzi porządku. Często wprowadza do domu z tuzin gości, nie uprzedziwszy wcale nikogo, albo wpada mu pomysł o obiedzie.... o północy.

Pani Lewis jest zupełnem przeciwieństwem swego męża. Wie czego chce, jest rzeczowa, i bardzo zdolna.

Najbardziej interesujące w powierzchowności Lewisa są jego oczy. Jaśnieją one i błyszczą intensywnym żarem, mimo że są błękitne. Nic w nim nie przypomina, że kończy pięćdziesiąt lat. Daleko w Sauk Center, w wiosce prerji, gdzie się urodził, jest on znany, jako „czerwony" Lewis. Jego przyjaciele nazywają go „Hal". Ma za sobą dziesięć generacyj jankesów. Jego ojciec i wujek i brat byli lekarzami.

Sinclair Lewis zdobywa sobie przyjaciół i zachowuje ich przyjaźń rozbrajającym czarem i wrodzonym wdziękiem. Słynie z uprzejmości i lojalności. Uchodzi za najbardziej wspaniałomyślnego pisarza amerykańskiego.

Ogromnie lubi wypić w towarzystwie. Kiedy jednak raz zasiądzie do maszyny do pisania, zapomina o alkoholu, aż nie ukończy powieści.

Przewędrował prawie cały świat, (dawniej jako tramp). Za najpiękniejszą miejscowość uważa Wenecję.

Jego syn z pierwszego małżeństwa nazywa się Wells. Nie z uwielbienia dla angielskiego autora, lecz dlatego, że to ładnie brzmi. Z drugiej żony ma jedynego syna, Michała. Ojciec go ubóstwia i zarządził, by ta dwuletnia latorośl towarzyszyła mu w podróży do Kopenhagi.

Tam zadziwił bankiet królewski, odpowiadając na toast po duńsku. Tego właśnie chciał i w tym celu spędzał niezliczone godziny przed gramofonem, ucząc się duńskiego języka.

Lubi dźwięki obcych słów i zdań. Używa służby niemieckiej i zarówno on, jak i jego małżonka, rozmawiają z niemi w ich języku.

Lewis jest niepoprawnym żartownisiem. Dzwoni do swojej żony kilka razy dziennie, naśladując głosy różnych sławnych osobistości, z któremi ona (jako wybitna dziennikarka) robiła wywiady. Pośrodku obiadu zwykle znika, by wrócić po chwili świetnie ucharakteryzowany w stylu Van Dyka. Jego mimika jest pierwszorzędna.

Pracując nad powieścią, obleka się w postać głównego bohatera. Przez kilka miesięcy był zrozpaczony, ponieważ przypuszczał, że sam jest Babbitem. W Niemczech kupił swojej żonie papierośnicę, ozdobioną emaljową podobizną najsławniejszego króla pruskiego bardzo dobrej roboty. Kupił ją nie dla jej wartości artystycznej, lecz dlatego, że Fryderyk Wielki wyglądał tam bardzo śmiesznie.

Poza rodziną, pisarza zajmuje przedewszystkiem farma w Nowej Anglji. Sposób, w jaki ją nabył, był typowy dla niego. Jadąc z żoną autem, zauważył przy drodze dom. Dom ten nie był wcale na sprzedaż, ale podobał się im. Właściciel zaprosił ich na obiad. Przy kawie podpisano kontrakt. Właściciel wyprowadził się do miasta tej samej nocy. Państwo Lewis posłali do Nowego Jorku po ubrania. I pozostali na miejscu.

Dom jest stary, chylący się ku upadkowi. Pokój, który Lewis najbardziej lubi, jest przestronny, ma kilka okien, wychodzących na piękny krajobraz lesistych wzgórz. Ściany pokryte są półkami z książkami, prawie pod sam sufit. Kolory są harmonijnie dobrane, a dominują szary, niebieski i miękki żółty.

Niechęć do składania i przyjmowania wizyt w normalny sposób graniczy u niego z kompleksem. Jego przyjaciele są zazwyczaj lokowani w osobnym domku dla gości, gdzie mogą robić, co im się żywnie podoba.

Spacery pieszo są przyjemnością, której oboje państwo Lewis chętnie się oddają. Miesiąc miodowy spędzili, włócząc się przez Walję i wzdłuż wybrzeża Kornwalijskiego. Pisarz zbiera książki w każdej miejscowości, gdzie tylko zawita, aż zaczyna się uginać pod ciężarem plecaka.

Teraz, kiedy każda z jego sławnych powieści przynosi mu przynajmniej 100.000 dolarów, Sinclair Lewis śmieje się z tych czasów, kiedy trudno było koniec z końcem powiązać w najskromniejszej dzielnicy Nowego Jorku. Jako dziennikarz nie mógł znaleźć pracy.

Z posiłkiem w papierowej torebce podróżował lokalnemi pociągami do samej Kalifornji, albo w ruchomym szałasie żył z dnia na dzień. Pisał zawzięcie. A pod koniec roku sprzedał tylko jedną rzecz, dowcip, za który otrzymał 4 dolary.

Kiedy zarabiał 12 dolarów tygodniowo w zakładzie wydawniczym, napisał pierwszą swą powieść, w wagonie pociągu między Nowym Jorkiem a Jersey i spowrotem. Powieść ta minęła bez echa. Mając lat 35, popadł w długi, opuścił posadę i napisał „Main Sreet".

Co zrobił z 50.000 dolarów, które otrzymał tytułem nagrody Nobla?

W odróżnieniu od innych pisarzy, którzy się dorobili wielkich majątków swojemi dziełami, Sinclair Lewis mówi skromnie, krzywiąc usta: „Użyłem je na utrzymanie rodziny pewnego pisarza amerykańskiego, aby ten pisarz mógł dalej pisać." *„The Passing Show" Londyn.*

NIEMCY SĄ NAJWYGODNIEJSZEM, NAJLEPIEJ ZORGANIZOWANEM WIĘZIENIEM NA ŚWIECIE

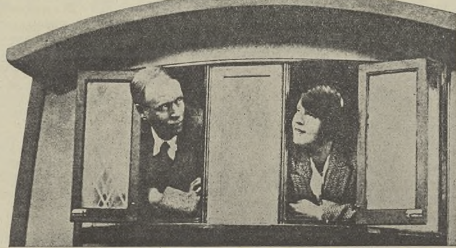
Wydalona z Niemiec, p. Dorothy Thompson Sinclair Lewis opowiada o Niemczech

Rozumiem, dlaczego tak szybko wyproszono mnie z Niemiec. Mimo to, jest to jednak krok bardzo głupi. Przecież nie po raz pierwszy byłam w Niemczech Adolfa Hitlera. W ostatnich 18 miesiącach przedsięwzięłam 5 podróży do Niemiec i widziałam tam dosyć, by sobie o nich sąd urobić.

Niedawniej, jak w ubiegłym miesiącu byłam w Niemczech. Na pytanie jak *dziś* widzę i odczuwam Niemcy, nie mam dobitniejszej ani ściślejszej odpowiedzi od tej:

Niemcy są dziś najbardziej wygodnem, najlepiej zorganizowanem więzieniem na świecie. Kto potrafi się obejść bez najmniejszej wolności duchowej, ten może w Niemczech dzisiejszych dobrze się czuć. Wszystko nazewnątrz jest w najlepszym porządku: poczta i kolej funkcjonują bez zarzutu, czystość i porządek biurokratyczny nie uległy w niczem zmianie. A jednak jest to więzienie. Wprawdzie nazewnątrz jest ono niewidzialne, jednak wyczuwa się je wszystkiemi porami, szczególnie jeżeli się przyjedzie z kraju, gdzie panuje wolność.

Czy stanowisko Hitlera pozostało niezmienione po straszliwym wstrząsie z 30 czerwca, czy wzmocniło się? Sądzę, że raczej tak. Oczywiście jego prestige moralny ucierpiał w pewnych warstwach społecznych, jak np. wśród konserwatystów, ale szerokie masy uprawiają teraz z wielką żarliwością prawdziwie religijny kult Führera. W rozmowach z przedstawicielami wszystkich warstw społecznych wyczułam tę wiarę w boskie posłannictwo Hitlera i to znacznie wzmożoną. Cała propaganda z 19 sierpnia zdradzała przecież tendencje w kierunku tego mistycznego kultu Hitlera. Najsilniejsze pod tym względem wrażenie odniosłam w Oberammergau, gdzie kobiety mówią o nim, jako o „Zbawicielu".



Sinclair Lewis i jego żona Dorothy Thompson wyglądają z okien swego domku na kołach.

Nie można jednak zaprzeczyć, że właśnie w Niemczech południowych 30 czerwca wywarł silny wpływ na nastroje ludności. Nigdzie ucisk i teror nie dały się tak silnie odczuć, jak w Monachjum. Tam nikt się nie odważy ust otworzyć, odkąd wypadki z 30 czerwca pokazały, do czego regime jest zdolny. Nikt w Monachjum nie odważy się nawiązać rozmowy z cudzoziemcem. Darmo starałam się odpieczętować im usta. Katolicy, protestanci, wyżsi i niżsi urzędnicy, robotnicy i kobiety, wszystko milczało i nie można ich było skłonić nawet do aluzyj.

W Berlinie pod względem zewnętrznym życie uprościło się znacznie. Co jednak uderza każdego, który znał dawniejszy Berlin, to jest niewiarygodny wprost upadek życia kulturalnego, co teraz można widzieć na scenach niemieckich, jest nędzne i poniżej krytyki.

Jak długo Hitler utrzyma się jeszcze przy władzy?

Trudno określić. Ja osobiście nie należę do tych, którzy widzą w przesileniu gospodarczem, choćby ono było najcięższe, bezpośrednią przyczynę upadku danego regime'u. Pewne jest tylko jedno, że Niemcy stoją przed niezmiernie ciężką zimą. Narazie nie można jeszcze mówić o skutecznej nielegalnej opozycji. Rzeczywista opozycja narazie istnieje tylko w kołach młodzieży akademickiej. Tu rzeczywiście dokonywa się daleko idący zwrot nastrojów. Reszta młodzieży jest jednak jeszcze całkowicie oddana Hitlerowi.

A teraz o kwestji żydowskiej! Byłoby mojem zdaniem fatalnem złudzeniem, gdyby chciano przypuszczać, że Hitler zmityguje swoją politykę żydowską. Wprost przeciwnie, jestem przekonana, że wobec nadchodzących ogromnych trudności, żydzi znowu będą kozłami ofiarnemi. To zresztą nie jest tylko moje przekonanie, ale większości żydów niemieckich, z którymi mówiłam, i którzy z wielkim niepokojem patrzą w przyszłość. Również za izolację Niemiec na polu polityki zagranicznej, o której sobie dziś naród, dzięki zakłamanej prasie, wcale sprawy nie zdaje, odpowiedzialność zrzuci się na żydów.

Jeszcze słówko o plebiscycie w zagłębiu Saary. Zwycięstwo nie stuprocentowe, oznaczałoby dla Niemiec fatalną klęską moralną, a szanse niemieckie ostatnio znacznie się pogorszyły.

Pani Sinclair Lewis zaznacza również, że przy jej wydaleniu niemałą rolę odegrała osobista animozja Hitlera, który nie może jej przebaczyć wywiadu, jaki ona z nim miała jeszcze w roku 1932, a więc przed jego dojściem do władzy.

„Pariser Tageblatt" Paryż.

JAK SIĘ LECZY KRYZYS TEATRALNY

Bułeczka z szyneczką do każdego biletu

Michał Erdelyi, dyrektor dwóch teatrów w Budapeszcie, na Placu Kalwaryjskim i przy ulicy Dembińskiego, wykazał praktycznie, że kryzysu teatralnego, przynajmniej jeżeli chodzi o zainteresowanie się publiczności sceną, niema wogóle.

System, stosowany przez Erdelyi'ego, jest zupełnie prosty. Przedewszystkiem zrezygnował on ze współpracy „gwiazd" i „gwiazdorów" i rekrutuje swoich aktorów spośród zdolnych uczniów szkół dramatycznych i bezrobotnych aktorów, którzy są zadowoleni, że w dzisiejszych trudnych czasach mogą zarobić dwa pengö (3 zł.) za występ.

W teatrach Erdelyi'ego daje się trzy przedstawienia dziennie, tak, że gaża aktora wynosi sześć pengö dziennie.

Doświadczeniu i zręczności dyrektora udało się osiągnąć temi skromnemi siłami wyniki pod względem artystycznym wcale zadawalające. Rozumie się, że i ceny biletów są utrzymane na poziomie bardzo niskim, wynoszą bowiem od dwudziestu helerów za miejsce stojące do jednego pengö za fotel w loży. Szatnia jest bezpłatna. Pozatem, jeżeli ostatnie przedstawienie przeciągnie się aż do północy, widzowie otrzymują przy wyjściu w gotówce tych kilka groszy, które mają zapłacić dozorcy.

Drugą inowacją wprowadzoną przez Erdelyi'ego, a która również stanowi silną atrakcję dla publiczności z dzielnic biedniejszych, jest następująca: każdy posiadacz biletu powyżej pięciu helerów otrzymuje bezpłatnie przy bufecie kanapkę ze szynką. Bufet teatralny jest stale obficie zaopatrzony w towar świeży i smaczny.

Tyle na temat, że się tak wyrazimy, społeczno-gastronomiczny. Co się zaś tyczy strony artystycznej, to ci, którzy byli na przedstawieniach w teatrach Erdelyi'ego, twierdzą, że aktorzy są po największej części zdolni, pracują z zamiłowaniem i z ambicją, aby zwrócić na siebie uwagę któregoś z dyrektorów wielkich teatrów. Na scenach Erdelyi'ego wystawiane są dramaty i komedje Schillera, Kleista, Szigligetiego, Ibsena, Sudermana. Prócz tego dają tam operetki Offenbacha, Hervego i innych, nie licząc sztuk autorów amerykańskich.

Wyniki: Trzy przedstawienia codzienne są stale wyprzedane, aktorzy otrzymują swoje gaże punktualnie, a dyrektor złożył sobie już spory kapitalik. *„Corriere della Sera", Medjolan*

Gabriel Faure

JEDYNA NOC

Lekko przeziębiony, wolałem zostać w domu w ten dżdżysty wieczór listopadowy i zabrać się do porządkowania nagromadzonych w mem biurku papierów, zamiast pójść na operę, dokąd żonę moją zaciągnęli przyjaciele.

Spaliłem już dużo niepotrzebnych listów, gdy nagle znalazłem jeden, na którego widok ręka moja zaczęła drżeć... W jaki sposób list ten dostał się między obojętne papiery?

Kiedyś czytywałem go codziennie... Potem, stopniowo, rzadziej. Czas i wartki prąd życia robią swoje... Zresztą ożeniłem się bardzo młodo i szczęście moje po tylu latach ani na chwilę nie osłabło. Żona moja, kobieta inteligentna i dobra, zna ten list, a jednak... jednak szczęśliwy jestem dzisiaj, że niema jej przy mnie, że nie widzi mego wzruszenia, gdy patrzę na tę pożółkłą i zmiętą ćwiartkę papieru.

Było to wtedy, gdym po raz pierwszy wyjechał do Włoch. Zrobiłem doktorat prawa, ale ku wielkiej rozpaczy moich rodziców, stan adwokacki nie pociągał mnie zupełnie; marzyłem o sławie literackiej.

Upojony cudami Florencji i Wenecji, zatrzymałem się na kilka dni nad jeziorami włoskiemi. Niewysłowiony czar jezior doprowadził moje zmysły do najwyższego napięcia. Szczególnie jezioro Como wydało mi się tak piękne, żem na jego tle wymarzył sobie jakieś niezwykłe przeżycie miłosne.

Wśród licznych i często bardzo pięknych kobiet, które się tu z różnych krain zjechały i z któremi się ciągle spotykałem, szukałem jakiegoś podboju. Najbardziej spodobała mi się i pociągała jedna francuska. Zauważyłem ją, gdy opuszczała statek i sam dźwięk jej głosu, gdy mówiła z tragarzem, dziwnie mnie wzruszył. Była samotna i zamieszkała w tym samym hotelu, co ja.

Miałem odrazu jakieś wewnętrzne przeświadczenie, że odpowiada ona wymarzonej przezemnie postaci kobiety, choć bardzo trudno byłoby mi powiedzieć, na czem właściwie to moje marzenie polega. Ale miałem wtedy dwadzieścia lat i pragnąłem miłości.

Przymykam oczy i widzę ją tak wyraźnie, jak tego wrześniowego ranka sprzed trzydziestu laty. Najlepszy pisarz nie może opisać twarzy takiej, jaką jest w istocie, określić uśmiech, spojrzenie, wszystko to, co jest nieuchwytne i w każdej twarzy jedyne. To też i ja nie będę się silił, aby opisać jej czar...

W ciągu kilku dni szukałem wszelkich możliwych sposobności, aby zbliżyć się do niej. Zawsze samotna i nierozmawiająca z nikim, całemi godzinami przesiadywała w ogródku hotelowym, napawając się słońcem i pięknem otaczającej natury. Wszystko, co o niej wiedziałem, ograniczało się do nazwiska, które znalazłem w spisie gości hotelowych: *Zofja Dalbret.*

Dni biegły z błyskawiczną szybkością i z rozpaczą myślałem o powrocie do Francji, wiedząc zresztą, że i pani Dalbret nie zabawi już długo w tym uroczym zakątku. Los uśmiechnął się wreszcie do mnie, kiedy jednego wieczora usłyszałem, jak pytała portjera, czy willa Carlotta będzie otwartą dla zwiedzających nazajutrz rano.

Bardzo wcześnie rano byłem już na drodze do Cadenabia. Gdym ją ujrzał zdaleka, serce zabiło mi gwałtownie. Szła szybkim i lekkim krokiem, z uśmiechem na ustach, nie podejrzewając, że ją śledzę memi zgłodniałemi oczyma. Aby nie zdradzać, że na nią czekałem, oddaliłem się szybko, wszedłem do willi Carlotta i skryłem się za pniem drzewa, w ogrodzie, aby wrócić i znaleźć się przed furtką w chwili, gdy ona właśnie wchodziła.

Ukłoniłem się i zebrawszy w sobie całą zimną krew, aby wydawać się zupełnie spokojnym, zapytałem, czy po raz pierwszy zamierza zwiedzić tę willę. Odpowiedziała z prostotą i serdecznie, że tak, co pozwoliło mi mówić jej o cudach, które ją tutaj czekają. Na szczęście znałem już dokładnie wspaniałe ogrody tej willi i posiadałem o niej wiadomości zaczerpnięte z Baedeckera.

Po tylu latach zdaje mi się, że mógłbym dokładnie przytoczyć każde nasze słowo, wypowiedziane wtedy... Słyszę jej głos ciepły i przeciągły, który działał na mnie, jak pieszczota... słyszę mój, nabrzmiały akcentem najwyższej namiętności... drżałem tak silnie od przebiegających wzdłuż ciała mego dreszczy, żem bladł i czerwieniał naprzemian... Nie chcąc przeciągać struny, pożegnałem ją sztywnie przy wyjściu z ogrodu. Uścisk jej dłoni, dał mi odczuć, że pragnienia moje znalazły w jej duszy przyjazny mi oddźwięk.

Następnego dnia życie hotelowe dało nam sposobność spotykania się i zamienienia kilku słów. Byłem w stanie niezwykłego podniecenia. Tysiące szalonych myśli przeszywało mój mózg, a świadomość, że za parę dni wszystko to się skończy, doprowadzała mnie do rozpaczy.

Po śniadaniu, zauważywszy, że jest sama w salonie, siadłem do fortepianu i znalazłszy partyturę Werthera, zacząłem z uniesieniem grać jakiś wyjątek.

Zbliżyła się do mnie, ironicznie uśmiechnięta i zapytała:

— Lubi pan tę muzykę?

— Nie!

— Poczóż więc pan to gra z takiem przejęciem!

— Sytuacja dramatyczna tak bardzo odpowiada memu nastrojowi obecnie, że...

Nachyliła się nademną, by przeczytać słowa partytury. Wyprostowała się jednak natychmiast, uderzyła mnie lekko po ramieniu i powiedziała cichym głosem:

— Jest pan szalony, już czas, bym jaknajprędzej wyjechała... — i szybko odeszła.

Wzburzony do ostatecznych granic, pobiegłem za nią do ogrodu i nie opuściłem jej, aż mi przebaczyła. Ale na całe popołudnie zamknęła się w swoim pokoju.

Wieczorem zeszła późno na obiad. Najspokojniej podała mi rękę, a widząc moje wzruszenie, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Wszystko ma swój koniec... Czas myśleć o powrocie!...

— Nie wyjedzie pani zanim nie obejrzy willi Serbelloni...

Nalegałem tak gorąco, że zgodziła się.

Następnego popołudnia, które było najpiękniejsze, jakie sobie człowiek zdolny jest wyobrazić w tym najczarowniejszym zakątku świata, szedłem obok niej, z sercem pełnem żaru, jaki daje pierwsza wielka miłość.

Pani Dalbret była niemniej podniecona odemnie; wyraźnie drżała na całem ciele. Czy kochała mnie? Nie wiedziałem! Czułem tylko, że poddaje się mej żądzy i szałowi...

Siedząc niedaleko willi, pod starym dębem, patrzyliśmy na małą przystań przy jeziorze, skąpaną w blasku zachodzącego słońca. Lekki podmuch wiatru, przesycony zapachem kończącego się lata, wprawiał nas w stan rozkosznej ociężałości, sprzyjającej wyznaniom.

Najzręczniej, jak tylko mogłem, starałem się dać jej do zrozumienia, że poza nic nieznaczącemi miłostkami ucznia i studenta, nie kochałem nigdy prawdziwie. Skolei i ona uczyniła mi kilka zwierzeń ze swego życia, powiedziała, że ma męża i dorosłą córkę, za którą bardzo tęskni i do której jedzie do Szwajcarji. Nie mogłem powstrzymać łez.

— Co panu jest? — zapytała.

— Czyż pani nie widzi, — krzyknąłem, — że kocham panią do szaleństwa, że chciałbym życie moje całe poświęcić pani...

— Szalony chłopcze...

— Tak szalony... już mi to pani powiedziała. Ale musi pani przyznać, żem się nie mylił, gdym swój los porównał z losem Werthera. Kocham panią, a może i pani mnie kocha... ale ktoś inny jest pani mężem.

— Przypuszczam, że nie będzie mi pan czynił wyrzutów, żem zamężna. Kiedym wychodziła zamąż, nie było jeszcze pana na świecie, albo był pan niemowlęciem... Nie mogłam chyba na pana czekać...

— Wolno się pani śmiać i żartować. Ale pani nie wie, jak strasznie, jak bardzo cierpię przez panią...

I, łkając, przytuliłem się do niej.

— Mój mały Janku, — powiedziała, po raz pierwszy nazywając mnie po imieniu — naprawdę stracił pan zupełnie głowę. Niech się pan uspokoi i spojrzy trzeźwo na rzeczy, bez dramatyzowania sytuacji. Tu nie chodzi o Werthera. Znamy się naprawdę od dwóch dni, a jutro będziemy daleko od siebie i nigdy więcej się nie zobaczymy.

— To niemożliwe... Nie widzieć pani więcej, to znaczy dla mnie śmierć...

— Nie umrze pan z tego. Nie umiera się z miłości dla nieznajomej, spotkanej w podróży. Młodość pana, brak obowiązkowej pracy, piękno tego kraju, z jego klimatem, kwiatami, i cudami, rozsianemi na każdym kroku wytworzyły nadmiar uczuć w panu. Zajął się pan mną, jakby to pan uczynił z każdą inną.

— Nie, nie... nigdy!... Pani bluźni!...

— Jest pan namiętnem dzieckiem, które łaknie miłości. Rozumiem pana, gdyż byłam też taką, może nią nawet jeszcze jestem... Wyznaję panu, że podoba mi się pan... Czuję, że jest pan szczery. Pan ma lat dwadzieścia — ja czterdzieści. Mogłabym być matką pana... Zachowajmy wspomnienie o naszem spotkaniu, jak o pięknym śnie, który się przyśnił w tej zbyt pięknej krainie, gdzie pragnęłoby się sny swoje urzeczywistniać...

Z cudownym taktem, jaki posiadają kobiety, gdy zachodzi potrzeba uspokojenia, mówiła mi rzeczy, które chwilowo koiły moją zbolałą duszę. Płakałem długo, trzymając jej ręce w mych dłoniach.

A potem przyszła godzina powrotu do Menaggio. Nigdy w życiu nie zapomnę tej przejażdżki... Zdawało mi się, że płynę w jakąś dal, gdzie wszystkie marzenia zginęły... Napróżno starałem się przekonać panią Dalbret, by odłożyła swój wyjazd. Jedyne com osiągnął, to obietnicę, że obiad zje zemną, i spędzi ze mną wieczór, ostatni wieczór, gdyż nieodwołalnie nazajutrz w południe miała wyjechać.

Jakiś niewysłowiony czar mają noce wrześniowe nad brzegami jeziora Como. Wszystko zda się pławić w zapachach, rozsianych wokół, jakby otulających duszę.

Południowy wiatr, **L a B r e v a**, który zaczął się po południu, dął tego wieczora miękko i rozkosznie. Siedząc w ogrodzie, milcząc, patrzyliśmy na jezioro, błyszczące w świetle księżyca, usiane łódkami, które bez szelestu pruły taflę jeziora i skąd dochodziły dźwięki nuconych pieśni. Chociaż był to wieczór, podobny prawdopodobnie do wielu innych, mieliśmy wrażenie jakiegoś wielkiego święta. Fotele nasze stały niedaleko siebie. Trzymaliśmy się za ręce, nie mówiąc ani słowa. I wtedy po raz pierwszy szepnąłem cicho jej imię:

— Zochno...

Równie cicho odszepnęła:

— Janku...

— Niech pani jutro nie wyjeżdża, niech pani zostanie choć jeden dzień jeszcze...

— Niemożliwe!

Wtedy najpokorniej, jak tylko mogłem, powiedziałem:

— W takim razie, błagam panią o jedną rzecz, proszę mi powiedzieć, że się pani zgodzi.

— To zbyt niebezpieczne...

— Wyjeżdża pani jutro... nie może pani odmówić mej jedynej prośbie...

— Niech pan powie...

— Niech mi pani daruje tę noc...

— Jest pan coraz bardziej szalony...

— Tę noc... tę jedyną noc...

W jednej chwili zerwała się z miejsca, jakgdyby skupiwszy całą siłę woli, na jaką ją było stać, i powiedziała, że jeśli się nie uspokoję, odejdzie natychmiast i odjedzie bez pożegnania.

— Niech pani to uczyni, a w tej chwili rzucę się do wody.

W tym stanie nerwowego napięcia i podniecenia, w jakim się znajdowałem, mógłbym był uczynić to szaleństwo. Moje nieprzytomne oczy musiały ją przerazić. Wróciła do mnie, kazała mi usiąść przy sobie i spokojnym, pieszczotliwym głosem starała się mnie uspokoić i przemówić do rozsądku.

Na wszystkie jej argumenty odpowiadałem:

— Kocham panią... kocham... Proszę o tę noc... tę jedyną noc...

Zwróciła się twarzą ku mnie, prawdopodobnie chcąc mnie błagać, bym ją oszczędził. Przy ostrem świetle lampy elektrycznej oczy nasze się spotkały. Byłem uderzony dziwnym wyrazem jej oczu. Przez dłuższą chwilę milczałem. Patrzyłem na nią. Jakże była piękna! W tej chwili światła elektryczne zgasły. W opustoszałym ogrodzie paliły się już tylko gdzieniegdzie małe lampki. Porwałem panią Dalbret w ramiona.

— Zochno, Zosieńko, nie trzeba walczyć z sobą... jutro będzie pani daleko...

Z pobliskiego hotelu dolatywało nas echo neapolitańskiej piosenki, której pospolitość raziłaby nas w warunkach zwykłych, a która w tej chwili cudownie harmonizowała z nastrojem zmysłowego napięcia, w jakim się znajdowaliśmy.

I w jednym odruchu, instynktownie, usta nasze zwarły się w długim pocałunku. A potem jednym ruchem, bez słowa podnieśliśmy się i wróciliśmy do hotelu.

Czem była ta noc, rozsądnicj będzie nie rozpamiętywać dzisiejszego wieczora.

O świcie opuściła mój pokój i udała się do siebie, prosząc, bym nie starał się jej zobaczyć do chwili, gdy będzie wsiadała na statek.

Kiedym się obudził z głębokiego snu, spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta. Zadzwoniłem na śniadanie. Wraz ze śniadaniem służący przyniósł mi list. Spojrzałem na kopertę i nie domyśliłem się, od kogo ten list może być. Zdziwionemi oczyma spojrzałem na służącego.

— Od pani Dalbret, dała mi ten list przed odjazdem i prosiła, abym panu wręczył, jak tylko się pan obudzi.

— Ależ pani Dalbret nie wyjechała jeszcze, jest dopiero dziesiąta. Miała wyjechać o dwunastej w południe.

— Widocznie pani Dalbret zmieniła projekt, gdyż wyjechała statkiem o ósmej, mówiąc, że w ten sposób zdąży na express z Como do Bazylei.

— Jesteście tego pewni?

— Sam zanosiłem bagaże pani Dalbret i ulokowałem ją na statku.

Nadludzkim wysiłkiem woli zapanowałem nad sobą, by nie okazać mego strasznego wzruszenia.

Kiedy zostałem sam, zacząłem tak gwałtownie drżeć na całem ciele, patrząc na list, żem go nie mógł przez chwilę oworzyć. Zgniotłem go, i prawie rozdarłem, zanim nareszcie go otworzyłem.

I dziś, po trzydziestu latach drżę jeszcze, gdy ten list czytam, choć każde jego słowo wyryte jest w mej pamięci:

„Mój mały przyjacielu. Będziesz cierpiał przezemnie, ale niezadługo, gdy serce Twe znajdzie ukojenie, będzie mnie Pan błogosławił, żem była dość silna, i nie odkładała operacji, która była konieczna. Skłamałam Panu, i chcę, abyś o tem wiedział, ale nie miałam odwagi sama Panu to wyznać. Jestem wolna, wdowa i bezdzietna i dlatego, żem wolna zupełnie, wyjeżdżam, nawet Pana nie pożegnawszy. Gdybym nie wyjechała natychmiast, kto wie, czy miałabym siły wyjechać wogóle. A to nie może, nie powinno się stać... Za kilka lat, za kilka miesięcy może, rozstalibyśmy się z słowami żalu i goryczy. Nie psujmy wspomnienia tych najpiękniejszych godzin w życiu, których nie żałuję, gdyż, oboje wolni, nie zdradziliśmy, ani nie oszukaliśmy nikogo.

Mam nadzieję, że moja ucieczka nie pozwoli Panu zapomnieć o mnie i czar przeżytych chwil nie zatrze się zupełnie w Twem sercu. Chciej dobrze mnie zrozumieć, mój Janku... opuszczam Cię, gdyż za bardzo kocham... błogosław, jak ja, boską przygodę... płacz niekiedy, wspominając naszą jedyną noc... Żegnam Cię, mój mały chłopczyku, żegnam na zawsze".

„Candide", Paryż.

Kanada — kraj niewyczerpanych możliwości

Porozumienie, zawarte przez Zjednoczone Królestwo z Kanadą na konferencji w Ottawie (w lipcu 1932) liczy dziś dwa lata. Powoli zaczynamy się orjentować w rezultatach oraz funkcjonowaniu tej umowy.

Artykuł 11 układu anglo-kanadyjskiego opiewa, że cła ochronne ustanowione przez Kanadę umożliwią producentom angielskim zdrową konkurencję.

Przemysłowcy brytyjscy twierdzą, że kanadyjskie taryfy celne nie mogą przewyższać poziomu, który wyrównywa ceny kosztu w obu krajach, oczywiście, o ile przemysł kanadyjski nie jest przez to narażony na bezrobocie lub stratę kapitału. Należy więc poprostu sprowadzić cenę kosztu artykułu importowanego do poziomu ceny produktu, wyrabianego na miejscu.

Ale z drugiej strony przemysł kanadyjski dowodzi, że zrównanie cen kosztu w krótkim czasie doprowadziłoby go do ruiny. Przemysłowcy podkreślają, że byłoby to sprzeczne z ogólnemi postanowieniami konferencji w Ottawie, które wyraźnie wypowiadały się za „współpracą przemysłową wewnątrz Imperjum, celem zapewnienia jaknajsprawiedliwszego podziału wytwórczości we wszystkich dzielnicach Imperjum, jak również ich rozwoju ekonomicznego".

Czyż można nazwać „rozwojem" zamykanie fabryk w ruchu, na korzyść producentów zamorskich?

Przemysłowcy kanadyjscy żądają, aby w kalkulacji ceny kosztu znajdowały się pozycje, mogące zapewnić im drogą kompensaty pewną wyższość nad konkurencją brytyjską. Przypominają oni, że rezultatem wszystkich wysiłków, które miały na celu danie pracy robotnikom oraz utrzymanie struktury ekonomicznej kraju, nie może być ustąpienie rynku producentom angielskim, którzy nie zatrudniają robotników kanadyjskich i płacą podatki rządowi w Londynie.

Przemysł kanadyjski nie produkuje pewnych artykułów, na które jest niewielkie zapotrzebowanie; towary te z powodzeniem mogliby importować anglicy. Natomiast w myśl artykułu 10-go rząd kanadyjski obowiązany jest protegować takie towary, „których odpowiedni zbyt na rynku kanadyjskim jest zapewniony". Właśnie dlatego, twierdzą kanadyjczycy, artykuły te muszą być uprzywilejowane i rząd winien zarezerwować dla nich miejscowy rynek.

MAŁE ZALUDNIENIE I BEZROBOCIE

Spór ten ma olbrzymie znaczenie dla całego życia ekonomicznego Kanady.

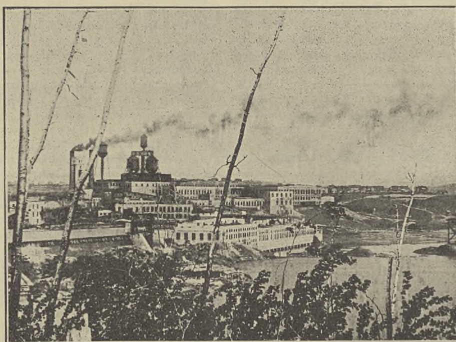
Za kulisami tego zagadnienia obserwujemy fakt, że Kanada jest zbyt uprzemysłowiona w stosunku do zdolności nabywczych ludności. Należy tu zaznaczyć, że Kanada, większa o miljon km. kwadr. od Stanów Zjednoczonych, ma zaledwie dziesięć i pół miljona mieszkańców. Jej bogactwa naturalne są olbrzymie, lecz w większości niewyzyskane. Zaledwie 1/6 ornej ziemi jest uprawiana. Kanada musi więc w pierwszym rzędzie dbać o zaludnienie niezamieszkałych dotychczas obszarów.

Do niedawna imigracja do Kanady była mile widziana przez rząd. Spotykamy tam liczne kolonje polaków, niemców, ukrainów, włochów i skandynawów. Natomiast dla azjatów, szczególnie dla japończyków, wjazd do Kanady był wzbroniony.

Ogólny kryzys odbił się fatalnie na Kanadzie, która zmuszona była przedewszystkiem zamknąć granice przed imigracją. A nawet trzeba było wydalić wielu spośród nowoprzybyłych, m. in. wielu obywateli angielskich. Mamy tu uderzający przykład sprzeczności ekonomicznych: kraj, którego cała przyszłość zależna jest od gęstego zaludnienia, nie może zatrudnić nawet tej niewielkiej ilości mieszkańców, jaką posiada. 30 czerwca r. b. było w Kanadzie 1.300.000 bezrobotnych, to znaczy 1/10 całej ludności. Ilość ta zmniejszyła się zresztą w porównaniu z rokiem ubiegłym. Rząd opracował wielki program robót publicznych, celem przyjścia z pomocą bezrobotnym — 40 miljonów dolarów przeznaczono na ten cel.

WPŁYWY STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Dzięki położeniu geograficznemu obu krajów, posiadających granicę długości 5000 km., niestrzeżoną nawet przez jedną armatę, gospodarka Kanady jest prawie całkowicie uzależniona od Stanów Zjednoczonych. Połowa akcyj i obligacyj przedsiębiorstw kanadyjskich znajduje się w rękach obywateli Stanów Zjednoczonych. W przemyśle drzewnym stosunek ten sięga nawet 75%. Jest ona niemniejsza w przemyśle konserw, rafinerjach nafty i t. p. Obliczono niedawno, że kapitały amerykańskie, inwestowane w Kanadzie, dochodzą do 4.108.000.000 dolarów.



Wielka papiernia w Ontario, w Kanadzie.

Czy i rząd kanadyjski uległ zaraźliwemu przykładowi amerykańskiemu? Na pytanie to różnie możnaby odpowiedzieć. Z jednej strony można przytoczyć wysiłki gabinetu Benetta, zdążające do zwalczenia kryzysu w sposób, nie mający nic wspólnego z metodami prezydenta Roosevelta. Ale ten sam minister 2 miesiące temu przeprowadził „bill", będący pod każdym względem wierną kopją NRA.

Mamy tu połączenie polityki ze sprawami gospodarczemi. Rolnicy kanadyjscy są niezadowoleni z Anglji i Benetta. Kanada dysponuje wielką nadwyżką produktów naturalnych, które musi wyeksportować. Celem zapewnienia dla tych produktów rynku angielskiego, zgodzono się zasadniczo na częściowe obniżenie barjer celnych dla towarów angielskich. Otóż rolnictwo kanadyjskie skarży się, że w rzeczywistości przyrzeczone kompensaty są znikome. Anglja posądzana jest o egoizm. Krytykowana jest polityka ministra Benetta, który nie chcąc urazić przemysłowców kanadyjskich, nie dopuszcza artykułów angielskich, co powoduje oczywiście ograniczenie rynku zbytu dla rolnictwa kanadyjskiego.

PRZYSZŁOŚĆ

Kanada, pomimo nieuniknionych i zmiennych konjunktur oraz przejściowych trudności, na każdym bezstronnym obserwatorze robi wrażenie kraju, o ustabilizowanym pod względem socjalnym ustroju i wzrastającej potędze ekonomicznej.

Eksploatacja obszarów kanadyjskich — która zresztą jest dopiero rozpoczęta — wymagała olbrzymich kapitałów, osiągniętych drogą pożyczek. W roku 1913 ogólna cyfra pożyczek wynosiła prawie 2 miljardy dolarów. Po wojnie, w roku 1919 wzrosła do 3.700 miljonów; w ciągu 10-u lat podwoiła się: w 1929 osiągnęła 7.400 miljonów. Dziś doszła do 9 miljardów, z czego 2/3 stanowią inwestycje zagraniczne.

Stan ten wymaga ożywionego handlu zagranicznego i na szczęście, ogłoszone ostatnio cyfry wskazują na znaczną poprawę sytuacji. Rok 1933 przyniósł nadwyżkę eksportową w sumie dolarów: 75 miljonów, a rok 1934 ma być znacznie lepszy.

Przyszłość Kanady zapowiada się niezwykle obiecująco. Poważni ekonomiści angielscy twierdzą, że Kanada będzie jednem z państw, które najprędzej i najlepiej skorzystają z powrotu „prosperity", aby stać się zdecydowanie ośrodkiem ekonomicznym Imperjum.

Śmiała to przepowiednia, z której należy wyciągnąć wniosek, że wszystko jest możliwe na żyznej ziemi, zamieszkałej przez dzielny naród.

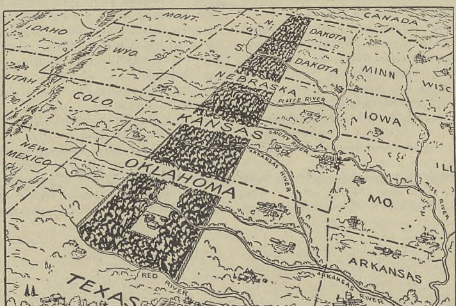
Robert Helier,

„Je suis partout", Paryż.

Człowiek zmieni klimat w Ameryce Północnej

W wyniku długotrwałych badań, prezydent Roosevelt upoważnił Wydział Leśny przy Departamencie Rolnictwa Stanów Zjednoczonych do rozpoczęcia pracy nad stworzeniem wielkiego obszaru leśnego, stumilowej szerokości, na przestrzeni ponad 1000 mil (1600 kilometrów) od Kanady do Texas.

Taki ochronny pas lasu przyczyni się do zwiększenia opadów atmosferycznych, osłabi burze piaskowe, które zrujnowały tyle farm w środkowo-zachodnich Stanach, zmniejszy powodzie i wylewy, pozwoli na zatrudnienie farmerów najbardziej dotkniętych przez klęskę suszy, oraz dostarczy w przyszłości doskonałego budulca.



Mapka wykazuje bieg i obszar 100-milowego pasa leśnego, który przecinać będzie Stany Zjednoczone od granic Kanady do Texasu.

Las ten nie będzie stanowił zwartej masy drzew. Znajdować się w nim będą niezalesione polany, gdzie zbudowane będą farmy, doskonale zabezpieczone przed wiatrami, które w zeszłym roku dęły w tych okolicach z tak wielką siłą.

Ludność, zamieszkała w obrębie lasów, nie będzie zmuszona przez Wydział Leśny do przeniesienia się gdzieindziej. Las będzie wytyczony w taki sposób, aby mógł ominąć nawet całe miasta.

Grunt pod uprawę lasu będzie nabyty przez rząd bądź drogą kupna lub dzierżawy, bądź też drogą układu z właścicielami ziemi.

Na zasadzenie drzew przewidziany jest okres dziesięcioletni; w ciągu następnego dziesięciolecia całkowity plan rządu ma być w zupełności zrealizowany. Koszt tego przedsięwzięcia przewidziany jest na dolarów: 75.000.000, która to suma będzie pokryta z funduszów przeznaczonych na wypadek klęski suszy.

Z punktu widzenia ochrony ziemi w środkowo-zachodnich Stanach projekt ten jest doskonały. Dopiero od kilku lat kwestja erozji*) ziemi jest poważnie omawiana, jakkolwiek nikt nie negował nigdy jej ogromnego znaczenia.

Ostatnio Komitet Mississipi Valley obliczył, że roczne straty wynikłe z erozji ziemi w dorzeczu Mississipi są 20 do 30 razy większe, aniżeli straty w tymże czasie wskutek powodzi. Obliczono, że w 6 dorzeczach w dolinie Missisipi straty powodziowe wynoszą dolarów: 8.879.000, natomiast straty wynikłe ze zniszczenia gruntów wskutek erozji — dolarów: 186.000.000 — 255.000.000.

Komitet podkreśla, że straty powodziowe są do naprawienia, podczas gdy straty powstałe na skutek erozji często są nie do powetowania. Dlatego też, o ile okolica ta nie przedsięweźmie natychmiastowej akcji, zabezpieczającej jej ziemię, stanie się ona niebawem ponurą pustynią, tak jak Sahara i Gobi, które również były niegdyś żyznemi obszarami.

Z tych też powodów zaprojektowany ochronny pas lasów w środkowo-zachodnich Stanach zyska wielu zwolenników wśród tych wszystkich, którzy myślą o dobrobycie przyszłych pokoleń. Wartość tego projektu nie może być oceniana w dolarach — dzięki jego realizacji zachowane będzie nasze największe bogactwo naturalne — ziemia.

„The American Observer", Waszyngton.

*) Erozja: ziemia niewzmocniona korzeniami drzew i roślin jest znoszona w olbrzymich masach przez prądy rzek, strumieni i t. p.



Masz! Następnym razem chyba już nie zapomnisz! „Passing Show", Londyn.

ŻYCIODAJNE ŚWIATŁO I JEGO WĘDRÓWKI

Miljardy zawarte w promieniach słonecznych

Otrzymujemy dziennie promienie słoneczne wartości 50 miljardów funtów szterlingów.

To jest dawka, jaką słońce dostarcza swemu dalekiemu dziecku — ziemi, której dało życie setki miljonów lat temu. Ziemia otrzymuje dziennie około 160 tonn światła słonecznego. Gdyby jaka elektrownia chciała wyprodukować tylko jeden funt światła słonecznego, koszty wynosiłyby miljard funtów.

Oczywiście ktoś może zaprotestować, że nie kupujemy na wagę ani światła słonecznego, ani elektrycznego. Tego odsyłam do Einsteina. Według niego światło dostaje się do nas w formie pocisków, które noszą nazwę „fotonów". Otóż płacąc za rachunek elektrowni, płacimy w rzeczywistości za „fotony" i to po cenie 17 miljonów funtów szterlingów za uncję.

Opalałem się na piaskach, gdzie słońce wyładowywało dziennie kilka wagonów promieni. Nominalnie nie kosztowało mnie to nic. W rzeczywistości musiałem za to zapłacić potem czoła i skórą karku.

Dzieje się to dlatego, że mam cienką skórę. Słońce robi ze mnie niedosmażony befsztyk. Ludzie o ciemnej cerze mają się lepiej, bo ich skóra zamiast się czerwienić i łuszczyć, staje się jakby wygarbowana dzięki temu, że barwniki złożone w głębszych warstwach skóry wydostają się pod wpływem słońca na powierzchnię. Te barwniki tworzą zaporę przeciwko szkodliwym promieniom, przepuszczając nadal dobroczynne.

Do promieni szkodliwych należą promienie infra-czerwone. Te promienie niszczą tkanki organizmu. Oto dlaczego murzyni są czarni. Czarne ubranie również nie przepuszcza tych promieni.

Światło słoneczne składa się z różnych gatunków promieni, od ultra-fioletowych do infra-czerwonych; zarówno jedne, jak i drugie są niewidzialne. Te promienie można rozszczepić zapomocą pryzmatu. Światło widzialne rozszczepia się na promienie widmowe: czerwone, pomarańczowe, żółte, zielone, niebieskie i fioletowe z wszystkiemi odcieniami tęczy. Poza fioletowemi leżą promienie ultra-fioletowe, przed czerwonemi promienie infra-czerwone.

ŻYCIODAJNE PROMIENIE

Promienie ultra-fioletowe są jednym z największych darów natury. Poganie czcili słońce, ponieważ zdawali sobie sprawę z tego, że życie od niego zależy. Słońce nietylko dostarcza nam ciepła i sprawia, że przedmioty jaśnieją barwami, lecz jego promienie są niezbędne dla naszego zdrowia, pomijając już fakt, że wszystkie pokarmy, jakie spożywamy, są niem przesiąknięte.

Astronomowie mówią nam, jak to w zamierzchłych czasach, miljony, miljony lat temu oderwał się odłamek od słońca.

Ten odłamek stygł stopniowo, i oziębiające się gazy zamieniły się w oceany albo połączyły się i stworzyły atmosferę, aż pod wpływem działania promieni słońca i życiodajnych gazów atmosfery powstało Życie.

Aby dostarczyć ciepła i energji ziemi i innym planetom, które były owocem jego młodzieńczych niedyskrecyj, słońce oddawało 4.000.000 tonn promieni na sekundę.

Nie należy sobie tego wyobrazić w postaci deszczu olbrzymich głazów, albowiem to jest prawie nic w porównaniu z ogromem masy słońca. Przez 10 miljonów lat słońce traciło wiele energji, ale i wystarczy jej jeszcze na sporo dalszych miljonów lat.

Materja słoneczna rozpada się na cząsteczki — promienie, które przebywają przestrzeń 92.000.000 mil angielskich, jaka nas od słońca dzieli, z szybkością 300.000 km. na sekundę, w ciągu 8 i ½ minuty.

I te promienie nietylko umożliwiają nam widzenie przepychu barw i kształtów dokoła nas, lecz właśnie one tworzą to piękno.

Promienie słoneczne, padające na nasz ogródek dostarczyłyby, gdybyśmy je potrafili zebrać, dosyć energji na poruszenie aeroplanu. Ale dotychczas nie udało nam się korzystać z nich inaczej, jak pod postacią ciepła.

PRÓBY WYZYSKANIA ENERGJI SŁONECZNEJ

W Egipcie wykorzystuje się promienie słoneczne w celu ogrzewania wody i obracania turbin. W krajach tropikalnych robi się próby wyzyskania promieni słonecznych dla obracania maszyn, robi się to zapomocą komórki fotoelektrycznej, takiej samej, jakiej używa się przy filmie dźwiękowym. W naszym niepewnym klimacie takie próby nie mają żadnego znaczenia.

Lecz w tej porze roku żądamy od słońca przedewszystkiem zdrowia. Tego ono nam użycza w cudowny sposób. Promienie ultra-fioletowe nietylko zabijają zarazki chorobotwórcze, lecz działają również wzmacniająco na organizm, pobudzając procesy chemiczne, jakie się tam odbywają.

One też wpływają decydująco na rozwijanie się organizmu. Wiadomo, że dzieci najwięcej rosną latem. Dzieje się to pod wpływem działania promieni ultra-fioletowych.

Organizm rośnie pod wpływem witaminy D, bez której procesy chemiczne w organiźmie nie mogą się należycie odbywać.

Ona właśnie sprawia, że wapień i fosfor stają się kośćmi i zębami. Ta witamina jest darem słońca. Promienie ultra-fioletowe powodują jej powstawanie w naszem ciele. Nie potrzebujemy jej dużo. Jeden lut wystarczy dla normalnego rozwoju miljona dzieci. Ale nasz organizm jest tak subtelnie zrównoważony, że 1/5000 grama tej substancji znacznie skraca jego życie.

Matka musi dziecku dostarczać witaminy D. Działanie promieni słonecznych na krowę daje nam witaminę D w mleku, działanie ich na kurę — w jaju. Lecz najwięcej witamin D. znajdujemy w wątrobie wielkich ryb morskich.

To są właściwie ryby głębinowe. Jak to się dzieje, skoro promienie słoneczne nie przenikają do tych głębi? Dzieje się to w nadzwyczaj fascynujący sposób. Dostają one się do ryb pośrednio. Promienie ultra-fioletowe są filtrowane przez lody polarne i koncentrują się w małych żyjątkach morskich, przebywających tuż pod samą powierzchnią.

Drobne rybki pożerają te żyjątka. Głębiej żyjące ryby pożerają skolei te mniejsze siostrzyce i same potem są łupem większych.

W ten sposób większe ryby, jak halibuty i in. w głębinie dostają swoją porcję witaminy D. i magazynują ją w wątrobie.

Zjawia się rybak i witamina D., po tylu wędrówkach, dostaje się wreszcie do człowieka w postaci tranu. W wielu naszych krajach północnych 95% sił żywotnych słońca idzie na marne. Pozbawione słońca dzieci rozwijają się źle, chyba że do pożywienia doprowadza się im witaminy, pochodzące z jakiejś istoty, przepojonej słońcem.

SZKODLIWE UBRANIA

Murzyni np. słyną z tego, że mają piękne zęby. Ból zębów był śród nich zupełnie nieznany. Aż przyszli misjonarze i nawracali murzynów nietylko na wiarę białych, ale i na ich zwyczaje. W najlepszej wierze ubrali oni nagich murzynów w szaty europejskie. Wynikiem tego były ból zębów i zepsute zęby. Tubylcy bowiem polegali na witaminach nie w pokarmie, lecz bezpośrednio dostarczanych przez słońce. Kiedy ich odziano, ich porcja słońca została zredukowana.

Dobroczynne działanie słońca odkryto zaledwie w początkach naszego stulecia, greccy wprawdzie wiedzieli o tem, ale później o tem zapomniano.

W r. 1893 odkrył prof. Finsen dobroczynne działanie promieni ultra-fioletowych. W roku 1900 otwarto w Szwajcarji pierwsze kliniki słoneczne.

Odtąd zaczęto uprawiać magikę słońca. Leczono gruźlicę, cherlactwo dzieci skutecznie usuwano przy pomocy promieni słonecznych. To samo można powiedzieć o chorobach skóry i cukrzycy.

Wszystkie niedomagania po długiej zimie znikają pod wpływem promieni słońca.

GROMADŹMY ZAPASY SŁOŃCA

W ciągu lata musimy nagromadzać zapasy słońca, jak to uczynił węgiel.

Prawieczne lasy nagromadzały energję słoneczną i dziś zwęglone zwracają nam ją w postaci ciepła. Ciało ludzkie nie może nagromadzać tak wielkich zapasów, lecz jeżeli zapas zdobyty na plaży lub na wsi jest dość wielki, wystarczy on na szary i smutny okres zimy.

Bierzmy więc, ile się da. Nie krzywdzimy tem nikogo. Wystarczy dla wszystkich, nawet dla przyszłych pokoleń.

Słońca jeszcze wystarczy na długie lata, mimo, że proces oziębiania trwa i kiedyś dojdzie do tego, że ziemia pokryje się lodami i wszelkie życie na niej ustanie — bo słońce się wyczerpie.

„The Sphere", Londyn



To zachowanie się na plaży jest wspaniałe. Lecz spodziewamy się, że ono się nie przyjmie w salonach. *„Candide", Paryż.*

WALKA OLBRZYMÓW MORSKICH

Bitwa wielorybów z rekinami

Z wód Antarktyki wieloryby często wędrują daleko na północ, aby się ogrzać w ciepłych wodach. Podczas zimy australijskiej zjawiają się w wielkich ilościach w okolicy Sydney'u.

Kiedy się zaczyna przeprawa wielorybów na północ, zjawiają się na ich drodze rekiny — „mordercy". Polują one na wieloryby, ażeby zgotować sobie ucztę z ich języków i warg.

Wieloryb, napadnięty, szuka ratunku w głębinach wód. Podczas gdy rekin uważany jest za jedną z najszybciej pływających istot w oceanie, to wieloryb jest natomiast świetnym nurkiem i może się zanurzyć na takie głębiny, gdzie rekin nie może się dostać. Zanurzywszy się, wieloryb dłuższy czas pływa w kierunku wbok od miejsca spotkania się z rekinem i zjawia się na powierzchni nieraz w odległości 10—12 kilometrów od tego miejsca. Rekin, chcąc złapać wieloryba, musi go wpędzić w miejsce płytkie.

Depesze z Sydney'u komunikują o dwuch niezwykłych bitwach morskich, które odbyły się na oczach mieszkańców miasta.

Pierwsza bitwa rozegrała się między siedmiu olbrzymiemi wielorybami, z których każdy sięgał dwudziestu metrów długości, a sześciorna rekinami, długości po pięć sześć metrów. Rekiny usiłowały zapędzić wieloryby do portu sydnejskiego. Urządziły prawdziwy łańcuch i zapędziły swoje olbrzymie ofiary, jak to czynią psy z owcami, w miejsce bez wyjścia. Woda się kłębiła i pieniła. Wieloryby zbijały się w grupy i tak smagały wodę ogonami, ażeby odpędzić rekiny, że na całem pobrzeżu słychać było nieprzerwany szum.

Za każdym razem, gdy rekinowi udawało się ugryźć przeciwnika w mordę, zwierzę w śmiertelnym strachu wyrzucało głowę wysoko nad wodę i ryczało, jak wół. Wielorybom wkońcu udało się przerwać łańcuch „morderców". Ukryły się szybko w głębinach wód.

W kilka dni później podobną bitwę stoczyło 12 wielorybów z kilku rekinami. Pasażerowie wielkiego statku, którzy byli naocznymi świadkami tej bitwy, opowiadają, że jeden wieloryb podrzucił rekina, który się wgryzł w niego, na sześć metrów ponad poziom wody. Przytem warga wieloryba oderwała się i morze zaczerwieniło się od krwi. „Rekiny sunęły, jak torpedy, — opowiada jeden z świadków tej sceny. — Ślizgały się po samej powierzchni oceanu. Rekiny jednocześnie atakowały tylko jednego wieloryba, i to z różnych stron. Wszystkie wysiłki atakujących były skierowane ku temu, ażeby zapędzić wieloryby na skały przybrzeżne. Bitwa trwała przeszło pół godziny".

„The Sketch", Londyn.

Sowiety w Lidze, Pakt Wschodni a stosunki polsko-francuskie

(Dokończenie ze str. 2)

zumienia, że Francja jest zdecydowana na ostateczność.

Ta taktyka wydaje się tem prawdopodobniejsza, że zbliża się 7 września, data posiedzenia Ligi Narodów, i Francja koniecznie chce mieć odpowiedź Polski w sprawie Paktu Wschodniego jeszcze przed tą datą.

Równolegle z tą kampanją prasową toczy się gorączkowa akcja dyplomatyczna. Ambasador Laroche, nie bacząc na polemiki prasy polskiej, których był przedmiotem, rozwija gorączkową działalność. Był kilkakrotnie przyjęty przez ministra Becka i krążą pogłoski, że te wizyty nie były bezowocne, że Polska ostatecznie przyrzekła swój akces do Paktu.

Byłoby jednak fatalną pomyłką przypuszczać, że przystąpienie Polski do Paktu sprowadzi odprężenie w sojuszu polsko-francuskim. W dniu przystąpienia Polski do Paktu, konflikt na linji Paryż — Warszawa przeniósłby się tylko na wyższą płaszczyznę.

„Berliner Tageblatt", Berlin.

Warszawa przychylnie zapatruje się na wstąpienie ZSSR do Ligi Narodów

Polityka polska śledzi z wielkiem zainteresowaniem trzy sprawy; ściśle ze sobą związane i aktualne na najbliższej sesji Ligi Narodów.

Projekt Locarna Wschodniego, wstąpienie Rosji do Ligi Narodów, generalizację traktatów mniejszościowych.

Nie jest prawdopodobne, by odpowiedź polski w sprawie Paktu Wschodniego była znana przed rozpoczęciem sesji L. N. W kołach politycznych polskich uchodzi za pewne, że odpowiedź polska będzie zawierała pewne rezerwy w sprawie paktu, nie będzie jednak negatywna. Z drugiej strony przyśpieszona procedura, przyjęta w celu wpowadzenia Rosji do Ligi Narodów, wywołała w Warszawie pewne zdziwienie, a to spowodu nagłego i niespodziewanego wystąpienia Anglji, Włoch i Francji w tej sprawie.

Zasadniczo czynniki miarodajne odnoszą się przychylnie do przystąpienia Rosji do Ligi Narodów. Polska jednak domaga się pewnych gwarancyj, szczególnie w sprawie traktatu mniejszościowego, mianowicie, by Rosja nie wykorzystywała przeciwko Polsce tych klauzul mniejszościowych, które Polskę obowiązują, a Rosji nie, tak jak to działo się z Niemcami.

Równocześnie Polska chce przez to dać do zrozumienia, że nie będzie stosować się do klauzul, które wiążą tylko ją, a którym inne państwa nie podlegają. Polska zmusza w ten sposób mocarstwa do zajęcia stanowiska w tej sprawie, a gdyby to stanowisko miało być negatywne, Polska zamierza wypowiedzieć traktat mniejszościowy.

„Paris Midi", Paryż.

Tarcia polsko-francuskie

Tarcia polsko-francuskie są wyłącznie taktyczne. Istotne bowiem interesy obu narodów są wspólne: świadczy o tem sojusz, który przecież zaledwie 4 miesiące, za pobytu p. Barthou w Warszawie, był solennie potwierdzony. Sojusz polsko-francuski trwa i jest on doprawdy ważniejszy od wszystkich jego nadbudówek locarneńskich, czy bałtyckich. Wierzymy, że przetrwa on i ten okres próby.

Jak powiedzieliśmy różnice polsko-francuskie są sporami o taktykę. Bo obydwum narodom drogi jest pokój; dla nas kwestją żywotną jest bezpieczeństwo i mocarstwowość Francji, dla Francji — bezpieczeństwo i wielkość Polski. W interesie Francji leży odprężenie i znormalizowanie stosunków polsko-niemieckich, bo przecież Francja nie pragnie być pod ciągłą groźbą wciągnięcia w wojnę o „korytarz"; w naszym interesie leży odprężenie francusko-niemieckie, bez którego nie może być atmosfery prawdziwego pokoju w Europie. W interesie i Francji i Polski leży utrzymywanie dobrych sąsiedzkich stosunków z ZSRR, tak by i z tej strony uniknąć niespodzianek i zakłócenia pokoju Europy. Wreszcie i Francji i Polsce zależy na tem, by państwa bałtyckie nie stały się nowemi Bałkanami Europy, terenem rozgrywek i wpływów rozmaitych mocarstw, i w szczególności, by znormalizowanie stosunków polsko-litewskich raz na zawsze usunęło z tej części Europy to wieczne zarzewie niepokoju, tarć i wojennych pogłosek.

Mamy nadzieję, że po obecnym zachmurzeniu stosunki polsko-francuskie ulegną wypogodzeniu; a stać się to może bardzo prędko, gdy tylko w Paryżu przypomną sobie, że sojusz z Polską ma większe znaczenie, niż mętne pakty i że wspólna polityka Polski i Francji nie jest synonimem polityki francuskiej.

„Czas", Warszawa—Kraków.

Anglicy nie wierzą francuskim plotkom

Nieufność opinji publicznej Francji względem Polski objawia się jeszcze raz w opublikowanym w „Liberté" rzekomym pakcie polsko-niemieckim, na którego mocy Niemcy miały-by pomóc Polsce przy aneksji Litwy wzamian za co Polska zrzekłaby się korytarza na rzecz Rzeszy.

Aczkolwiek takie rozwiązanie problemów wschodnio-europejskich niegdyś było dyskutowane przez amatorskich polityków, nie jest do pomyślenia, by Polska zgodziła się na taki pakt. Narażałoby to ją na zmianę łatwego dostępu do morza i dzielnicy o przygniatającej większości polskiej, na dostęp do morza o wiele mniej korzystny i na kraj zawierający 2.000.000 ludności niepolskiej, coby jeszcze bardziej rozdęło sprawę mniejszości narodowych w Polsce.

Opublikowanie takiej wiadomości w gazecie prawicowej wskazuje jednak na zwrot w opinji francuskiej w stosunku do Polski.

„The Morning Post", Londyn.

PRZYJACIÓŁKI DILLINGERA

Rewolwerowe dziewczynki — kochanki bandytów

Zabity niedawno Dillinger rozpoczął swą „bohaterską" karjerę w chwili, gdy inni zakończyli swoją. Ściśle: 11 listopada 1918 roku zastrzelił człowieka w kawiarni, gdzie oblewano zawieszenie broni.

Można śmiało powiedzieć, że młody amerykański wieśniak stał się zbrodniarzem tylko dlatego, że wojna się skończyła. Przez lata słyszał on dookoła niezwykłe historje o bitwach, egzekucjach, karabinach maszynowych... To już się skończyło i on nie weźmie w tem wszystkiem udziału! Żołnierze wrócą z frontu, okryci sławą, podziwiani przez wszystkich. Jakaż będzie jego sytuacja wobec dziewcząt, w porównaniu z bohaterami wielkiej wojny?

Takie myśli wstrząsają umysłem Dillingera i zapewne wielu innych. Każdy z nich zareaguje, jak mu nakaże temperament: jeden będzie robił interesy, inny zostanie oszustem lub bandytą.

Zarówno Dillinger, jak jego towarzysze nie lubią złota... dla złota. Zdobywają wielkie fortuny, często miljony... lecz nigdy nie mają centa przy duszy! Pieniądze wydają chorobliwie, nerwowo. I wszyscy otaczają się kobietami, prześladują je, uwodzą, ryzykują dla nich życie...

Ich przyjaciółki, t. zw. „gun-girls" godne są swych szalonych kochanków. Taka Evelyn Frechett, córka indjanki i kanadyjczyka, drobna, czarna, niesympatyczna, podejrzana jest o zabicie karabinem maszynowym dwuch policjantów! Albo taka Bonnie Parker, o miłej, słodkiej twarzyczce. Zabito ją z bronią w ręku, gdy broniła swego kochanka, Clyde Barrow'a.

Czy wyglądają one energicznie, męsko? Nie, te kobiety nie mają w sobie nic z amazonek, są pełne kobiecości. Bandytom amerykańskim niepotrzebni są mężczyźni, przebrani za nimfy, jak kapitanowi Roehmowi, ale prawdziwe kobiety, znane z opisów Coopera i Aymarda — słabe, nerwowe, romantyczne, w miarę wulgarne.

ZE ŚWIATA FILMU

Dillinger nie wybierał swych przyjaciółek spośród dam z towarzystwa, ani też kobiet z ludu — grasował w najbardziej romantycznem środowisku — w świecie filmu. Jest to najbardziej sentymentalny rodzaj kobiet — przykładne żony dla bogatych bankierów lub — ofiary rynsztoków Chicago i Nowego Jorku.

Pewnego dnia Nancy Guttman pożycza „wrogowi publicznemu Nr. 1" (tak prasa amerykańska nazywała Dillingera) swą suknię, aby mu pomóc w ucieczce i następnie w koszulce i majteczkach błąka się przez 3 dni po okolicznych drogach, zatrzymuje jakieś auto, udając ofiarę napadu, wyrzuca młodego człowieka, który ją wiezie i... ucieka!

Rozpoczyna się niezwykły pościg. Młody człowiek, zakochany w dziewczynie goni ją przez całe Stany, aby się z nią ożenić. Trzy razy znalazł ją, trzykrotnie mu odmówiła. Wkońcu on odbiera sobie życie, a biedna Nancy w kilka tygodni potem robi to samo, gdyż dowiaduje się, że Dillinger porzucił ją dla Evelyn Frechett.

Innym razem Dillinger uwodzi dyrektorkę więzienia, gdzie odsiaduje karę. Korzysta z tej miłostki, aby uciec...

Podczas, gdy policja prześladuje go bezlitośnie, Dillinger obrabowuje doszczętnie kilka banków i... pisze do swego ojca - staruszka listy, pełne szlachetnego uczucia i miłości synowskiej.

Mniej więcej w podobny sposób pisał przed śmiercią do swych dzieci Stawiski, projektując między innemi ufundowanie nagrody z zakresu „literatury umoralniającej".

Krwawa farsa trwa nadal. Dillinger, zdradzony, wreszcie pada. Kto go zdradził? — Kobieta, którą obdarzył bezgranicznem zaufaniem!..

Przez dwa dni cała ludność defiluje przed trupem bandyty, trzymanym w lodzie. Wkońcu przychodzi ojciec zabitego z trumną i prosi o wydanie ciała. Spostrzeżono wówczas rzecz niezwykłą: mózg Dillingera, zakonserwowany w spirytusie, znikł. Kto go ukradł. — Mężczyzna? Kobieta? Jakieś tajemnicze stowarzyszenie dla celów spirytystycznych? Czy powiekszy on majątek jakiegoś „cudotwórcy"? właściciela cyrku? antykwarjusza?

...Sic transit... a świat nie stał się przez to ani lepszy, ani mądrzejszy...

„Voilà", Paryż.



Po wakacjach:
— A więc spowrotem do ciężkiej i żmudnej pracy.. *„Passing Show", Londyn.*



— Czy wie Pani, zdaje mi się, że mój mąż już mnie dosyć...
— Po czem Pani to poznaje?
— Nie przychodzi do domu już od trzech lat...

„The Tatler", Londyn.

Redakcja: Warszawa, Króla Alberta 1 Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta 1 Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: Michał Sass. **Wydawca: Wydawnictwo „Chronos" sp. z o. o.**

Druk. „Monolit", Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.